Nr. 24 (1379). Warszawa, 15 Czerwca 1907 r. **Rok XXVII.**

PRAWDA

FILOZOFIA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19. **Telefonu 7388.**

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał III.

POLITYKA

Lisie skoki.

Śród samego panegirycznego chóru polityki Koła polskiego w Dumie obudziła się wątpliwość, czy lisie skoki na prawo i lewo pod komendą p. Dmowskiego nie skończą się ostatecznie wpadnięciem w żelaza? Korespondent *Kuryera Warsz.* pisze: „W parlamencie rosyjskim i przy obecnym rozwoju opinii publicznej w Rosyi polityka wolnej ręki kryje w sobie niebezpieczeństwo. Nie jesteśmy jeszcze w sferze polityki realnej. Jesteśmy jeszcze w atmosferze mętnych uczuć i ogólnikowych aspiracyj. Grupa polityczna, która nie chce się koordynować z wytwarzającemi się nowemi siłami, może być narażona na to, że się dostanie w sam wir walki a może nawet stanie się jej celem. Ażeby wytrzymać takie parcie, potrzeba być dosyć mocnym. Jeżeli zaś niema tej mocy, można być albo narażonym na szwank, albo pozostawionym na „uboczu“. Mimo tej obawy korespondent, wbrew naszym poprzednim wywodom, nie widzi możności dla Koła zawarcia stałego sojuszu z jakąkolwiek partyą w Dumie. Lewica bowiem jest zlepkiem różnorodnych żywiołów z rozmaitem ciążeniem, kadeci zaś stanowią grupę „tchórzliwą i ustępliwą względem rządu aż do obniżenia powagi i pełnomocnictwa parlamentu.“ Twierdzenie to ma niewątpliwie swoją zasadność, ale wszyscy, którzy je powtarzają i przeciw nam zwracają, świadomie, czy bezwiednie omijają zasadniczy punkt naszego stanowiska: posłowie polscy w Dumie nie powinni brać żadnego udziału w bieżących sprawach rosyjskich i ograniczyć go wyłącznie do kwestyj konstytucyjnych i autonomicznych. Ten punkt był wysunięty przez Demokracyę Postępową na pierwszy plan taktyki, zwalczała go zawzięcie „koncentracya narodowa“ a teraz doświadczenie za to ją karze. Brak stałej większości w Dumie, kalejdoskopowe układanie się jej z rozmaitych stronnictw, pozwalające Kołu przeważać szalę, zrodziło w niem fikcyę stałej przewagi, fikcyę, która zadawala lekkomyślną próżność twórców tej niby bardzo mądrej strategii a w ostatecznym rezultacie już sprowadziła dla niego odosobnienie. Tak np. delegacya polska powinna była powstrzymać się nietylko od przemawiania, ale nawet od głosowania w sprawie poboru rekruta; p. Konic jednak nie mógł się powstrzymać od przyjemności występu a Koło od przyjemności odegrania decydującej roli. Dowodzi ono i zapewnie wierzy, że gdy wielokrotnie okaże swój rozstrzygający wpływ na uchwały Dumy, ujawni swą siłę i stanie się pożądanym sprzymierzeńcem dla wszystkich stronnictw. Jest to rachuba wprost dziecinna, bo skoro utworzy się stała większość parlamentarna, Koło nietylko straci swoją przypadkową przewagę, ale będzie miało wszystkie grupy przeciw sobie. Ta jego izolacya już dziś objawia się bardzo wyraźnie.

Mówiąc o związkach trwałych, nie mieliśmy wcale na myśli tych właśnie spraw bieżących, w których delegacya polska dokonywa lisich skoków. Według nas powinna ona zawrzeć takie przymierze jedynie dla wspólnego walczenia o konstytucyę i autonomię. Wtedy straciłaby uciechę oddziaływania na przebieg i wynik niejednego zatargu Dumy z rządem, skazałaby się na stanowisko biernego świadka w niejednym między nimi procesie parlamentarnym, ale z tem większym naciskiem uwydatniałyby i przypominała potrzebę dokonania przedewszystkiem zmian zasadniczych w ustroju państwa i położeniu naszego kraju. Obecną taktyką nie może ona ani nadać sobie poważnego znaczenia, ani osiągnąć poważnych rezultatów dla swego narodu. Koła rządu, prawicy i lewicy zetrą ją. Niedługo czekać będzie nasza wróżba na sprawdzenie, więc niech ją zachowa pamięć czytelników: obecne Koło polskie nie zdobędzie dla nas nic i powróci z wawrzynami „polityki psot i figlów“, które mogą wystarczyć dla nasycenia ambicyi pp. Dmowskich, ale społeczeństwu dadzą tylko zawód, gorycz i zwątpienie.

Ciągłe charakteryzowanie się i przebieranie, maskarada i intrygi, które zapewniły Demokracyi Narodowej zwycięztwo w wyborach, użyte na scenie parlamentarnej pozostawią po sobie tylko ślady efektów pośledniego komedyanctwa.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Pierwsze posiedzenie austryackiej izby poselskiej odbędzie się 17 b. m. Będzie to posiedzenie czysto formalne; otwarcie parlamentu mową tronową nastąpi 18 b. m., zawierać ona będzie, jak informują półurzędowe organy, zapowiedź ustawy o powszechnem ubezpieczeniu na starość i na wypadek choroby, tudzież zapowiedź przedłożenia projektu rządowego w sprawie dwuletniej służby wojskowej i reformy sądownictwa wojskowego. Akcya, mająca na celu połączenie czterech stronnictw niemieckich, a mianowicie: partyi postępowej, ludowców, wolnych wszechniemców i agraryuszów w jeden niemiecki blok wolnomyślny, mający być przeciwwagą bloku konserwatywno-klerykalnego — wydała rezultaty niezamierzone. Stronnictwa niemieckie, uchodzące za wolnomyślne i postępowe, zostały rozbite, a z rozbicia tego wyłoniła się kompozycya o charakterze agrarno konserwatywnym. Po za plecami niemieckiej partyi postępowej mianowicie przeprowadzone zostały rokowania między agraryuszami a niemiecką partya ludową, wynikiem ich jest połączenie obu tych stronnictw, które porzucają dotychczasowe miana partyjne i programy, łącząc się w jeden klub pod nazwą: „Niemiecki związek narodowy“. Nowy ten klub liczy 51 członków i będzie miał tak wyłącznie konserwatywny charakter, że można go właściwie uważać za wzmożenie klerykalno-konserwatywnego bloku chrześciansko-społecznych i centrum katolickiego. Liczba członków tego klubu wzrośnie zapewne, gdy przyłączy się doń konserwatywna część partyi postępowej. Reszta członków tej partyi utworzy, jak się zdaje, nowy niemiecki klub radykalny pod mianem klubu demokratycznego, który jednakże pozbawiony będzie wszelkiego znaczenia.

Czescy agraryusze, jako obecnie najsilniejniejsza czeska partya w Radzie państwa, zwołali 5 b. m. zgromadzenie w sprawie czeskiego klubu narodowego. Obrady toczyły się w obecności zastępców agraryuszów, młodo i staroczechów, katolików czeskich, realistów i narodowych socyalistów. Uchwalono jednomyślnie utworzenie wspólnego klubu posłów z Czech, Moraw i Ślązka. Polskie stronnictwo ludowe, na odbytym 9 b. m. zebraniu, postanowiło polecić posłom rozpoczęcie rokowań z przedstawicielami Koła polskiego. Od wyniku tych rokowań zależeć będzie sformułowanie wniosku wydziału stronnictwa, który ma być przedstawiony kongresowi partyi. Zanim zjazd orzeknie o stanowisku ludowców wobec Koła, posłowie stronnictwa utworzą samodzielny klub, który zaproponuje Kołu tymczasowe porozumienie się delegacyi Koła z klubem we wszystkich sprawach narodowych, krajowych lub dotyczących całej reprezentacyi polskiej.

W francuskiej izbie posłów omawianem było stanowisko Francyi wobec angielskiego wniosku w kwestyi rozbrojenia. Minister spraw zagranicznych, Pichon, w odpowiedzi na interpelacyę dep. Pressense oświadczył, że delegacya francuska weźmie udział w obradach, o ile zaproponowana będzie formuła, która mogłaby znaleźć jednomyślne przyjęcie mocarstw. Izba przyjęła porządek dzienny, pochwalający oświadczenie rządu. Bezrobocie marynarskie zakończyło się nadspodziewanie szybko. Marsylski komitet wysłał delegatów z rozmaitych miast portowych na konferencyę z ministrami. Delegaci zdecydowali się odstąpić od wysokości żądań, sformułowanych przez naczelny komitet strajkowy, rząd zaś przyrzekł podwyższyć pensye marynarskich rezerwistów ponad pierwotnie proponowane 360 franków rocznie. „Demonstracye winne“ trwają w dalszym ciągu; w Montpellier 500.000 robotników i właścicieli winnic odbyło wiec, który uchwalił odmowę płacenia podatków do chwili zaspojenia żądań winiarzy. Przed sądem przysięgłych rozpoczął się proces przeciw członkom federacyi pracy Bousquet i Levy o podburzanie do mordów, kradzieży i rabunków.

W Zurychu 4 b. m. na placu w dzielnicy przemysłowej eksplodowała bomba, raniąc troje dzieci; tegoż dnia pięciu nieznanych mężczyzn, jak Szwajcarzy przypuszczają Rosjan, wtargnęło do koszar policyi celem uwolnienia aresztowanego niejakiego Kilaczyckiego. Napastnicy dali kilka strzałów rewolwerowych do straży, nikogo jednak nie trafili, pościg za spłoszonymi alarmem napastnikami był bezowocnym. Pisma miejscowe domagają się ograniczeń przyjmowania studentów rosyjskich na uniwersytety szwajcarskie.

Na posiedzeniu skupczyny 10 b. m. prezes ministrów, Pasicz, zawiadomił o ustąpieniu całego gabinetu, wskutek nieudanego kompromisu między rządem a opozycyą. Przypuszczają, że Pasicz stanie znowu na czele ministeryum po usunięciu z dotychczasowego jego składu ministra spraw wewnętrznych i wojny.

Rząd portugalski zaprzecza w urzędowym komunikacie pogłoskom o niebezpieczeństwie rewolucyi, wyraża nadzieje, ze stosunek między parlamentem a rządem wejdzie na normalne tory. Zdaniem komunikatu „dynastya cieszy się zupełną sympatyą poddanych, której dano wyraz przy licznych sposobnościach w ostatnich czasach“. *Daily Mail* donosi, że ambasador angielski zerwał stosunki z dworem portugalskim. Królowę znieważono na ulicy, wszystkie szkoły i uniwersytety są zamknięte, prasa zarzuca radzie królewskiej kradzież funduszów państwowych i wzywa do niepłacenia podatków, jako nieuchwalonych przez rozwiązany parlament.

Opublikowano tekst nowej konstytucyi dla kolonii Oranje. Główne punkty tego aktu państwowego są: Utworzenie rady prawodawczej, składającej się z 11-tu członków, powoływać się mających przez rząd, oraz zgromadzenie prawodawcze, złożone z 38 deputowanych, których wybierać będą wszyscy poddani angielscy, po ukończeniu 21-go roku życia, jeżeli przebywają w kolonii przynajnajmniej już od 6-u miesięcy. Rozprawy mogą się odbywać w języku holenderskim lub angielskim. Ministrami mogą być tylko krajowcy z kolonii.

W Persyi zaburzenia ponowiły się. W Karmańszachu doszło do starcia między dwiema partyami, na jakie podzieliła się ludność przy wyborach, zabito znaczną ilość osób. Gubernator sprzyja jednej partyi, druga ukryła się w liczbie 2.000 ludzi w konsulacie angielskim. Wojska szacha wyczekują na posiłki z Teheranu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZWIĄZEK SPRAWY KOBIECEJ Z OGÓLNYM POSTĘPEM SPOŁECZEŃSTWA.

(Mowa, wypowiedziana na zjeździe kobiet w Warszawie).

Kiedy przed 30 laty — jeden z niewielu wówczas — broniłem parokrotnie z katedry publicznej równouprawnienia kobiet, znajdowało się

---

7)

L. F. Pantielejew.

Z dawnych wspomnień.

(Ciąg dalszy)

Tego samego, zdaje się, jeszcze dnia mnie i Rudominę przeprowadzili do szpitala, który się znajdował w domu poprawczym, niedaleko dawnej fabryki Berda. W tym szpitalu Suworow urządził swego rodzaju uprzywilejowane miejsce dla skazanych na zesłanie chorych więźniów politycznych. Tam znalazłem w oddziale, przeznaczonym dla nas, sześciu do siedmiu ludzi, z których trzech było naprawdę chorych, a inni zatrzymani z różnych powodów, tylko nie z przyczyny choroby.

Swobody było tu dużo; codziennie od rana do wieczora można było odwiedzać więźniów bez żadnego specyalnego pozwolenia, także przynosić im wszystko bez poddawania rewizyi, która istniała tylko w teoryi. Naturalnie, zaraz zaczęli z tego korzystać wszyscy moi towarzysze i znajomi.

Wkrótce mój teść zawiadomił mię o swem widzeniu się z Suworowem, który mu powiedział, że na jego przedstawienie cesarz zgodził się nakazać przegląd mojej sprawy w Petersburgu. Rzecz poszła dość prędko, III oddział dał korzystną o mnie opinię. Ale audytoriat uznał za właściwe spytać Kaufmana, co naturalnie bieg sprawy powstrzymało. Mijały miesiące w ten sposób, a kiedy odpowiedź przyszła, warunki położenia tak się zmieniły, ze korzyści mi nie przyniosła.

Polacy, siedzący ze mną i ci, którzy przychodzili ich odwiedzać, bardzo byli uradowani obrotem mojej sprawy w Petersburgu. Twierdzili oni, iż to był bodaj pierwszy wypadek, że cesarz nakazał powtórne rozpatrzenie przeprowadzonego w Wilnie procesu; przypominali o jakimś przez Murawiewa zesłanym Domańskim, osobiście znanym cesarzowi, który przedstawił dowody, że nie brał żadnego udziału w powstaniu a pomimo to cesarz miał odpowiedzieć: teraz nie można nic zrobić, trzeba poczekać; dajcie mu pieniędzy na drogę. Przyjaciele Ohryzki niecierpliwie czekali końca mojej sprawy i budowali na niej plany przyszłej swojej kampanii w jego obronie.

Życie w więzieniu poprawczem upływało wogóle nieźle: prócz częstych odwiedzin, codziennych przechadzek, można było i do miasta zajrzeć pod pozorem wyjścia do kąpieli. Wyjście odbywało się pod nadzorem strażnika, z którym za skromne stosunkowo wynagrodzenie zamiast do kąpieli szło się w odwiedziny do znajomych.

Między innymi odwiedzał mię często W. O. Kowalewski, który przynosił nowości literackie. Raz mówi mi on:— Z polecenia waszych przyjaciół mam wam powiedzieć, że jeślibyście chcieli uciekać i pieniądze i wszystko jest dla was przygotowane; zastanówcie się. Odmówiłem. Nie chciało mi się zawieść zaufania Suworowa, który, obiecując memu teściowi, że mnie zatrzyma w Petersburgu, zrobił uwagę: mam nadzieję, że on nie ucieknie; a następnie sama myśl zostania emigrantem, odciętą od wszystkiego kruszyną, przerażała mię bardziej, niż ciężkie roboty. Z katorgi—myślałem sobie—jeśli nie umrę, wrócę, a z emigracyi nie wraca się.

Co do moich towarzyszów w więzieniu poprawczem, to ci wciąż się zmieniali: jednych zabierano, drugich przyprowadzano. Tak tu, jak w Wilnie nie przyszło mi się zetknąć z najwybitniejszymi uczestnikami powstania; przedemną przesuwała się pstra procesya samych szeregowców, ludzi różnorodnego umysłowego i towarzyskiego stanowiska. Tem ciekawiej przypatrywałem się im i porównywałem ich z

ono w zupełnie innych warunkach. Cała niemal Europa odpędzała od siebie ze wstrętem i zgrozą widmo emancypantki; obrońcom tradycyi naszego społeczeństwa przed tą zmorą włosy na głowach dębem stawały; rozweselającym ich humorystom żółć ściekała z piór nieprzerwanym potokiem, a przytem sama sprawa wprowadzana była głównie przed sąd anatomii i fizyologii. Ważyliśmy starannie mózg niewieści, badaliśmy jego zwoje, porównywaliśmy go z męzkim i zwykle dochodziliśmy — do najsprzeczniejszych wniosków. Podczas gdy jedni twierdzili, że kobieta stanowi wyższą odmianę zwierzęcia, drudzy — że niższą odmianę anioła; podczas gdy jedni zaliczali jej umysł do indukcyjnych, drudzy — do dedukcyjnych; wszyscy zaś zgodnie ze swemi przekonaniami chcieli ustosunkować jej wychowanie i uprawnienie. Zapamiętały spór w tym przedmiocie obracał się długo około osi opartej na dwóch przeciwległych biegunach: przy jednym stali ci, którzy z Nietschem radzili zbliżać się do kobiety nie inaczej, jak ze spicrutą; przy drugim ci, którzy za Micheletem wierzyli, że ona w duszy swojej posiada więcej oktaw górnych i dolnych, niż mężczyzna. Dziś ta walka wcale nas nie obchodzi. Stało się nam zupełnie obojętnem, czy mózg kobiety jest cięższy, czy lżejszy od męzkiego, czy jej duch okazał swą siłę w tym, czy w innym kierunku; czy jest wskazanem, ażeby ona poszła tą, czy inną drogą. Zagadnienie, dotyczące jej stanowiska, zmieniło swą postać: z biologicznego, antropologicznego, psychologicznego, religijnego stało się społecznem a w tej zmianie straciło dawną swą odrębność i złączyło się z całym splotem zagadnień współżycia, weszło jako szczególny przypadek w ogólną sprawę wolności. Dziś też rozwiązujemy je daleko szerszą formułą.

Nie znaczy to, ażeby kwestya kobieca przestała istnieć i rozwijać się swoim własnym ruchem. Owszem, stoi ona ciągle na wokandzie sądu opinii publicznej, przed którym występuje jako osobny procces historyczno - socyologiczny, posiada osobne akty — jak robotnicza, rolna, żydowska i t. d. Ze względów praktycznych, dla skupienia i zwrócenia energii zbiorowej do pewnego celu, takie wygradzanie jednej dziedziny stosunków społecznych, łączących się ściśle z całym ich obszarem a wymagających reformy, ma poniekąd racyę. Gdyby kobiety nie wynosiły na widownię swoich krzywd; gdyby nie odsłaniały swej nędzy i upośledzenia; gdyby nie domagały się uznania swoich praw ludzkich — z pewnością nie posiadałyby tych, które już zdobyły i nie zbliżyłyby się do tych, które zdobędą. Kamień można wydrążyć dłutem, ale również drąży go kropla wody, spadająca nieustannie w jeden punkt. Nieobliczona masa książek, broszur i czasopism, których one użyły jako pociski w szturmie do twierdzy przesądów; ustawiczne ich protesty i zabiegi na zjazdach i we wszelkich instytucyach, do których zdołały wejść lub wcisnąć się ze swą skargą i wpływem; niezmordowane przyciąganie ku sobie opinii publicznej drogą stosunków prywatnych — wszystko to osiągnęło niewątpliwie poważny skutek i w części sprowadziło poprawę ich położenia, która dokonała się przez ostatnie dziesięciolecia. Ale ta poprawa nie jest wyłącznie dziełem ruchu niewieściego. Jednocześnie bowiem szedł szybkimi krokami ogólny postęp narodów, który oddziaływał na wszystkie sfery ich życia. W kilku państwach nastąpiły głębokie przewroty rozwojowe, po całej przestrzeni cywilizacyi rozlały się szeroko prądy demokratyczne, nauka zradykalizowała się a pod tym naciskiem pękły mury i murki kast, wyłączeń i przywilejów. Z tej ruiny starych ruder społecznych i budowy nowych gmachów skorzystała w znacznej mierze kobieta, której także przypadł pewien udział w zyskanych swobodach i prawach. E. Prądzyński, któremu od niej należy się wdzięczna pamięć za wymowny i gorący głos, rzucony przed 34 laty w głuchą pustynię, poświęcił swoją książkę „pracy bez zarobku, myśli bez rozwoju, woli bez czynu, zmarnowanym dobrym chęciom, oszpeconej piękności, wyzyskiwanej słabości, tęsknym pragnieniom, rzewnym nadziejom, niezasłużonym łzom—kobiecie bolejącej“; dziś złagodziłby on nieco ostrość swej dedykacyi. Dzisiejsza bowiem kobieta nie jest papugą, chowaną przez mężczyznę w klatce; nie jest ową niewolnicą, której pan kazał wybić okna mieszkania w ścianach od ulicy i pozwolił przypatrywać się ciekawie temu, co się dzieje po za jej domem. Jest ona jeszcze „bolejącą“, ale już bojującą i nieraz zwycięzką, a do tego boju i tego zwycięstwa czerpie siły z ogólnego przetwarzania się stosunków społecznych. Na tę właśnie łączność chciałbym zwrócić szczególną uwagę szanownych słuchaczek.

Prędzej, czy później każdy system przekonań i każdy wątek uczuć przeradza się w kult, każdy ma swoje dogmaty, przedmioty czci, żarliwość i fanatyzm. Tak samo stało się ze sprawą kobiecą. Dla wielu jest ona sferą wyodrębnioną, zamkniętą w sobie, wymagającą rozstrzygnięcia niezależnego od innych i uregulowania osobnemi ustawami. Jej obrońcom zdaje się, że możliwem jest usamodzielnienie kobiety bez samodzielności wszystkich obywateli kraju, nadanie jej swobody bez swobody powszechnej. Dlatego, walcząc o pierwszą, pomijają lub mniejszą przywiązują wagę do drugiej. Jest to błąd wspólny wszystkim kultom społecznym. Robotnik, włościanin, żyd również mniema, że jego pragnienia mogą być zaspokojone bez względu na pozostałą resztę współżyjącej z nim ludności i również lekceważy jej interesy i potrzeby. Tymczasem między wszystkiemi ugrupowaniami stosunków w społeczeństwie istnieje bardzo ścisła zależność, niepozwalająca przetwarzać jednych bez naruszenia innych. To też nieuniknioną koniecznością dla kobiet, walczących o wyzwolenie siebie, jest czynny udział w walce o wyzwolenie wszystkich. Tylko w łącznym boju, tylko na szerokiem jego polu mogą one zdobyć pełnię praw ludzkich i obywatelskich. Inaczej pozostaną ciągle odosobnione, zmuszone liczyć tylko na własne siły i słabe przymierza, które niewątpliwie przyniosą im niejedną drobną korzyść, ale nie przyniosą ostatecznego tryumfu. Dopóki warunkiem równouprawnienia kobiet było złożenie wiarogodnych dowodów ich podobieństwa do mężczyzn; dopóki sprawa emancypacyi wahała się między sprzecznemi świadectwami fizyologii i psychologii, zawarcie jej w ciasnych granicach separatyzmu było usprawiedliwionem. Ale dziś, gdy mózg tysiącogramowy ma a przynajmniej musi mieć równe prawo do swobody z dwutysiącogramowym; gdy Kopernik nie posiadałby pełniejszego obywatelstwa, niż prosty drwal, osobna wojna niewieścia straciła dużo ze swej racyi. Kobiety mogą w niej posiadać własny sztandar, ale winny stanowić tylko jeden z korpusów i stosować się do ruchów całej armii.

Niestety, rozumie to zaledwie mała ich część. Nie mówię tu naturalnie ani o prostoduszkach, których najwyższą ambicyą jest cierpliwie wysiadywać oraz troskliwie wo-

---

ówczesnem społeczeństwem rosyjskiem. Wszystkich, od prostego szlachcica, jak Czechowicz, który własnemi rękami obrabiał ziemię, do większego właściciela ziemskiego lub przedstawiciela inteligentnego zawodu, łączyła jedna myśl, choć różnie pojmowana, której podstawą była gorąca miłość dla swego kraju i swej narodowości. Prócz tego, nawet ludzie skromnego wykształcenia posiadali dobrą znajomość dziejów i literatury ojczystej; umieli oni na pamięć całe stronice z Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Syrokomli i in. Większość mówiła ze mną szczerze: jedni potępiali powstanie, drudzy wykazywali grube w prowadzeniu jego błędy, nierzadko robili wzajemne porachunki partyjne, ale nikt absolutnie na los swój nie uskarżał się i nie utyskiwał, że lekkomyślnie dał się wplątać. Ludzie, którzy splamili się w jakikolwiek sposób albo milczeli, lub podlegali bezwzględnemu ostracyzmowi; szczególnie surowymi pod tym względem byli ludzie prości. A co przedewszystkiem uderzało — to wiara w przyszłość; żaden ucisk nie mógł jej zachwiać, każdy miał w duszy niby dogmat: jeszcze Polska nie zginęła!

Ledwie przybyłem do szpitali, zaraz mi się przedstawił dr. G—cz i zaraz zaczął mi wykładać swoje dość zagmatwane wyznanie wiary, z którego to tylko można było zrozumieć, że przyczyną wszystkiego złego są popi i urzędnicy; słowa G—cza lały się potokiem, moja cierpliwość wyczerpywała się, ledwie jednak objawiałem chęć odłożenia rozmowy na później, G—cz zawsze powstrzymywał mię: „posłuchaj pan, jutro zapewne nie będzie mnie już na tym świecie“. Nie wiem, jak długo ciągnęłaby się ta męczarnia, gdyby ktoś z obecnych nie wywołał mnie był na korytarz i nie wyjaśnił, że doktór ma trochę popsute w głowie.

Moim najbliższym sąsiadem był młody człowiek, prawie gimnazista z wyższej klasy, któremu kula utkwiła w nodze. Trzy razy już krajali mu ranę; za pierwszym razem kuli nie znaleźli i pomimo to nie wahali się wysłać go na Syberyę. W Petersburgu udało się go zatrzymać; tu krajali go dwa razy i kuli nie znaleźli. Trzeba było zrobić jeszcze jedną operacyę; on konieczność jej rozumiał, ale mówił, że blask stali wywołuje w nim dreszcze. Na szczęście, któregoś pięknego dnia kula sama wyszła.

Następnie młody hrabia z Królestwa Polskiego D., którego cały majątek, jak utrzymywali jego rodacy, stanowiła napół rozwalona baszta. Miał on krewnych ustosunkowanych i dzięki temu został zatrzymany w Petersburgu. Hrabia D. otrzymał świetne wykształcenie w uniwersytecie w Louvain, t. j. jeździł doskonale konno, fechtował się i był znakomitym tancerzem. Zdrowia mógł mu pozazdościć najzdrowszy człowiek, a pomimo to on codziennie oddawał się różnym ćwiczeniom gimnastycznym. Swoją historyę tak opowiadał: po rozbiciu oddziału Bończy, przedostał się za granicę. Tymczasem zdaje się w 65 r. rząd wydał deklaracyę, że emigranci mogą wrócić, trzeba tylko, żeby oddali się do rozporządzenia władzy (swego rodzaju amnestya).

— Krewni moi, mówił hrabia, poradzili mi, żebym wracał, nic złego bowiem mię nie spotka; więc wróciłem; w Warszawie przedstawiłem się gen. Trepowowi; ten kazał mnie odprowadzić do cytadeli. Tam po pewnym czasie wzywa mnie gen. Tuchołka (przewodniczący głównej komisyi śledczej).

— Opowiedz pan, coś robił.

Odpowiedziałem, żem siedział u siebie na wsi, kiedy jednego pięknego dnia przybył tam oddział zbrojny, aresztował mnie i odstawił do partyi Bończy. Tam cały czas trzymano mnie pod strażą a kiedy partya została rozbita, ja skorzystałem z tego, ażeby umknąć za granicę.

— Tak, to teraz opowiedz pan, jakeś z oddziałem ograbił kasę rządową w Ciechocinku i sprzedawał tam sól rządową.

— Boncza posłał tam oddział i mnie pod strażą.

dzić pisklęta, ani o samolubkach które pragnęłyby dla siebie samowoli a dla pozostałego świata—niewoli; ale o tych, które dobrze życząc bliźnim, wcale o nich się nie troszczą i sądzą, że można na jednym instrumencie grać co innego, niż gra cała orkiestra, a mimo to jego głos się wybije i harmonia się nie naruszy. Są kobiety, które przestrzegają tego tylko, ażeby w artykułach programów wolnomyślnych przy określaniu praw politycznych mieścił się dodatek: bez różnicy płci. Co tam zaś się mówi o stosunku kapitału do pracy, o nietykalności osobistej, o swobodzie zebrań i związków lub o zabezpieczeniu mniejszości narodowych—to je mało obchodzi. One nie chcą być ludźmi i członkami społeczeństwa, tylko kobietami. Pielęgnują w sobie osobliwy patryotyzm żeńskiego rodzaju, który im nakłada na oczy matowe okulary z maleńkimi krążkami przezroczystymi, przez które widzą jedynie swój światek. W ten sposób nietylko odgradzają go ostrokołem od całego obszaru życia i przecinają konieczne z nim łączności, ale marnują swą wielką siłę. Jeżeli mężczyzna jest uprawnionym dotąd władcą, to kobieta jest nieuprawnionym doradcą korony. Nie potrzeba wcale powoływać się na mniej lub więcej dowcipne aforyzmy i analizy powieściopisarskie, ażeby stwierdzić fakt jej potężnego oddziaływania na jego myśli, uczucia, wolę i czyny. Właściwie też upomina się ona dziś i walczy jedynie o *bezpośredni* wpływ na bieg spraw społecznych, bo *pośredni* już posiada w tak wysokiej mierze, że go nigdy nie powiększy, nawet w zupełnem równouprawnieniu a prawdopodobnie zmniejszy. Gdy przestanie szeptać a zacznie głośno mówić; gdy z izby małżeńskiej, alkowy i salonu wyjdzie na widownię publiczną; gdy z nieodpowiedzialnej żony, zausznicy, przyjaciółki i kokietki stanie się odpowiedzialną działaczką, mniej będzie mogła i mniej będzie chciała, bo sama musi składać rachunki obywatelskie ze swych czynów. Zapewnie, jej poczucie godności nie może się zadowolić tem zakulisowem znaczeniem i nie przestanie pobudzać jej do wystąpienia na scenę, chociażby przez to osłabiła istotną siłę swego wpływu; ale to nie przeszkadza jej zużytkować posiadany obecnie, zwłaszcza dla celów, od których zależy jej wyzwolenie. Skoro nie ulega wątpliwości, że kobieta nie otrzyma pełni praw obywatelskich w postaci osobnego dla niej daru, tylko jako wynik ogólnej zmiany ustroju społecznego; skoro jest pewnem, że te prawa wypłyną dla niej z wolności powszechnej, to jest również wskazanem, że ona musi współdziałać w osiągnięciu tego dobra. Jak dawniej była towarzyszką mężczyzny w pracy rodzinno-domowej, tak dziś powinna być nią w walce publicznej. To zadanie—a jest ono najważniejszem z jej zadań emancypacyjnych — otwiera przed nią szeroką drogę działania i perspektywę niewątpliwego tryumfu w przyszłości. Wszystko, co jest największego, najpiękniejszego w świecie ducha, objawia się w kobiecie i wszystko, co jest najmniejszego i najszpetniejszego, objawia się również w kobiecie. Czyli—skala jej wartości jest ogromna, a posiadając taką skalę, nie potrzebuje ona obawiać się, ażeby sama natura, skazała ją na podrzędne stanowisko. Ponieważ dziś już różnice przyrodzone przestały być usprawiedliwieniem różnic w uobywatelnieniu członków społeczeństwa kulturalnego, zrównanych bezwzględnie wobec prawa; ponieważ wszelkie odmienności duchowe zamiast uzasadniać potrzebę skrępowania ich niewolą, uzasadniają potrzebę obdarzenia ich zupełną swobodą, która im pozwoli zbogacić życie zbiorowe nowymi, zawsze pożądanymi pierwiastkami; ponieważ z tej strony—tak niegdyś wyzyskiwanej przeciw kobiecie—nie grozi jej poważne niebezpieczeństwo i długi opór, przeto musi ona za główny cel swych dążeń uznać ową wszystkich wyzwalającą wolność. Wtedy będzie mogła sama słusznie powiedzieć o sobie: jestem człowiekiem, nic ludzkiego nie jest mi obcem. Wtedy również powiedzianem o niej będzie: oto jest człowiek i nic ludzkiego nie powinno jej być odjętem.

A. Świętochowski.

Czas obudzić się!

Dzieje żydów, osiadłych w Polsce, były od lat stu niemal idące torem asymilacyi z narodem polskim, zostały w ostatnich latach przerwane groźnymi okrzykami nowego, nieznanego dawniej stronnictwa, które, wziąwszy sobie za hasło: „będziemy narodem odrębnym, stworzymy nowoczesny Syon", usiłuje oplwać i podeptać uświęcone historyczną tradycyą dążenia asymilacyjne i skierować dalszą ewolucyę ludności żydowskiej w łożysko separatyzmu narodowościowego.

I trzeba przyznać, że ta robota niszczycielska, jak na początek, udaje się doskonale. Nacyonaliści, jakkolwiek urzędowych tek nie posiadają, jakkolwiek żadnych wybitniejszych stanowisk społecznych nie zajmują, — są jednak dziś siłą, z którą wszystkie odłamy społeczeństwa poważnie się liczą. Dość powiedzieć, że przy ostatnich wyborach do Dumy, wszystkie nazwiska żydowskie zostały podyktowane przez nacyonalistów. Oni tyranizują opinię publiczną, zmuszają do milczenia wylęknionych asymilatorów, zniewalają do posłuszeństwa rdzennie polski postęp, szerzą swój wpływ nawet w szeregach socyalistycznych. Butni, namiętni, pijani swym fanatyzmem, narzucają się opinii, jako jedyni prawdziwi przywódcy ludu żydowskiego, odsądzając od czci i wiary wszystkich tych, którzy społem z nimi iść nie chcą, miotając na nich najstraszniejsze oszczerstwa, piętnując ich nawet mianem zdrajców.

W tym momencie zwrotnym trzeba się głęboko zastanowić nad sytuacyą. Dziś, jakkolwiek już silni, nacyonaliści są jeszcze bądź co bądź nieliczną grupą społeczną. Jeżeli jednak pozwolimy im bez przeszkody w dalszym ciągu działać, jeżeli asymilatorzy nie stworzą moralnej przeciwwagi i zachowywać się będą biernie wobec ich namiętnej agitacyi, to za lat dziesięć lub dwadzieścia nacyonaliści zapanują wszechwładnie na polu walki i im, jak swym niewolnikom, dyktować będą rozkazy. Niebezpieczeństwo jest tem większe, iż pewien znaczny odłam postępu polskiego, wychodząc z zasad bezwzględnego demokratyzmu, staje w obronie dążeń nacyonalistów żydowskich do autonomii kulturalnej i tym sposobem sfanatyzowanych agitatorów żargonowych jeszcze bardziej podnieca. Widzieliśmy, jak na wiecach, poświęconych sprawie żydowskiej, tłum entuzyazmował się, ilekroć z ust polskiego postępowca padały słowa obrony autonomicznych dążeń żydów.

Wobec tych dwóch prądów: nacyonalizacyi z dołu i szerokiej tolerancyi z góry, łatwo może dojść do zupełnego

---

— Toś pan pod strażą pisał pokwitowanie na zabrane pieniądze i sprzedane pudy soli?

— Tak, pod strażą.

— A jakże pan objaśnisz, że Bończa w przeddzień bitwy oświadczył partyi, żeby w razie jego śmierci (był istotnie zabity) oddała panu nad sobą komendę?

— Nie wiem, dlaczego Bończa tak mówił. — Więcej mnie nie pytano. Sąd skazał hrabiego na śmierć, co jednak namiestnik zmienił na zesłanie na Syberyę. Ale hrabia na to się nie zgadzał; on by pojechał na Syberyę, gdyby tam była kolej żelazna. — Jechać tysiące wiorst—mówił—po rosyjsku, w saniach; co innego gdyby była kolej żelazna, ale sankami. — Dzięki wpływowym krewnym skończyło się podobno zesłaniem do gubernii Riazańskiej i natychmiastowem wypuszczeniem na swobodę. Do nas przyszedł pożegnać się i rozradowany powtarzał: — Rjazań, to co innego, tam jest kolej żelazna.

Był też ksiądz z Galicyi, ogromnej postawy, cały porąbany. Pokazywał on nam zbiór maleńkich kostek ze swojej czaszki. Do niewoli wzięto go prawie martwym i złożono w szpitalu. Z uznaniem wspominał on o jakimś doktorze wojskowym, Woskresienskim, który ocalił go od niechybnej śmierci i nie pozwolił zacząć śledztwa, dopóki on się jako tako nie podleczył. Skazany na ciężkie roboty, został zatrzymany w Petersburgu. Osoby, interesujące się nim, usiłowały przez posła austryackiego wyrobić mu powrót do Galicyi. Nieszczęsny poruszał się z trudnością, zawsze trzymając się ściany, każdy ruch cokolwiek żwawszy sprawiał mu wielki ból; na przechadzkę nie wychodził nigdy; ale na końcu długiego korytarza była kuchnia, do której nasz ksiądz codziennie z wszelkiemi ostrożnościami wędrował; lubił on bardzo kawę i sam ją przyrządzał, a głównie umiejętnie gotował śmietankę, powoli cały garnuszek przeistaczając w gęstą masę, jak gdyby piany.

Po ustąpieniu Suworowa nowa władza, nie czekając końca wszczętej sprawy, wysłała księdza na Syberyę. W 66 r. spotkałem go w Krasnojarsku w szpitalu. Co wycierpiał, nie mówiąc już o podróży koleją i na statku, na przejeździe wózkami z Permu do Tobolska — opowiedzieć niepodobna. Jak tylko ustalił się gościniec zimowy wyprawili go w dalszą drogę. Umarł, nie dojechawszy do Irkucka, gdzie czekało na niego pozwolenie powrotu do Galicyi.

Swego rodzaju urozmaicenie wprowadzał do naszego monotonnego życia dr. G—cz. Jak wszyscy umysłowo chorzy był on bardzo nierówny. Po całych godzinach chodził w sąsiednim pokoju i mówił bezprzestanku: ach, Jezus, Marya — przyczem uderzał czołem we drzwi a ramieniem w jednem i tem samem zawsze miejscu w ścianę. Jak na drzwiach, tak i na ścianie powstawały od tego plamy, które doprowadzały do rozpaczy pułkownika Winka, naczelnika oddziału poprawczego, dbającego nadewszystko o czystość (ta dbałość nie zabezpieczyła go od ławy podsądnych, na której zasiadł w kilka lat potem za wielką grabież); dozorca za każdym razem objaśniał, że plamy robił dr. G. Plamy zacierano, ale nazajutrz znowu się ukazywały.

G. okazywał mi szczególną sympatyę; całemi godzinami opowiadał mi o swoich czasach studenckich, a następnie o pobycie w Pińszczyźnie; opowiadał tak znakomicie, że cały ten kraj jak żywy obraz stawał przedemną. Ja nie myśliwy a jednak opowiadania G. pochłaniały mnie, kiedy kreślił szczegóły swoich wypraw i sukcesów z psem i strzelbą. A wszystkie swoje opowiadania niezmiennie kończył on temi słowy: — i oto za opatrzenie kilku rannych, spełnienie obowiązku chrześciańskiego, wysyłają mnie na Sybir — na Sybir — powtarzał z nieudanym przestrachem.

(C. d. n.)

i ostatecznego bankructwa idei asymilacyi. Czy wobec tego wolno jej zachowywać się obojętnie? Czy nie powinna ona wytężyć wszystkich sił, aby stworzyć przeciwwagę zakusom nacyonalistów? Toć najwidoczniejszą jest rzeczą, że stanowisko społeczne polaków-żydów jest w obecnej chwili poważnie zagrożone i że burzliwie wzbierająca fala może ich wkrótce zmieść z tej wyżyny, na którą wzniosła ich praca przeszłych pokoleń i do której mają oni niezaprzeczenie prawo historyczne.

Powiecie może panowie asymilatorzy, że strach mój jest przesadzony, że nacyonaliści nigdy nie pociągną za sobą tłumów. Mylicie się! Dziś olbrzymia masa chasydzka jeszcze nieuświadomiona, z żadnemi samoistnemi żądaniami nie występuje, przedstawia polityczne zero. Poczekajcie jednak kilkanaście lat, a zobaczycie, jaki ferment ideowy wniosą do tej masy nacyonaliści, — zobaczycie, jak to wszystko, co dziś drzemie snem średniowiecznego ghetta, obudzi się do życia i wołać będzie zapamiętale: „chcemy być sobą i tylko sobą!"

Działalności agitatorów nacyonalistycznych nie wolno nam żadną miarą bagatelizować. Czy nie widzicie, jaką oni mają przewagę nad nami? Czy nie widzicie, jaki tam jest zapał, jaka namiętność, jaki fanatyzm? Oni rozporządzają masą środków kulturalnych, dla nas w tej chwili niedostępnych. Spójrzcie na ich prasę, na ich wydawnictwa, na ich teatry, na ich cały arsenał, za pomocą którego krzewią oni kulturę. Nie zapominajcie, że duchowo są bliżsi masom, niż my, że znają doskonale ich specyficzną psychikę i że przemawiają do nich w języku, dla nich zrozumiałym.

Ale nie koniec na tem; korzystając z ciemnoty swego ludu, szczepić mu będą swe ideały szowinistyczne, podsuwać idee, wręcz dla niego szkodliwe, sztucznie odgradzać masę od narodu polskiego, sugestyonując jej odrębność i separatyzm. Dla osiągnięcia swego celu przed niczem się nie cofną: będą okłamywali swój biedny, nieszczęśliwy lud i fałszowali historyą, aby tylko wpoić weń swe dążenia separatystyczne.

Asymilatorzy uspokajają się tem, że żargon nie jest językiem. Daremna radość. Dziś żargon nie jest jeszcze językiem, ale będzie nim w niedalekiej przyszłości. Toć każdy język przeszedł przez fazę gwary ludowej; zanim się w końca nie urobił i nie wykształcił. Trzeba tylko, aby przez dłuższy czas w języku tym pisano. Dzisiejszą literaturę żargonową, bladą i miniaturową kopię innych, niewartą funta kłaków, możnaby z łatwością przekreślić bez ujmy dla ludu żydowskiego i dla jego kultury. Niech jednak literatura ta rozwija się jeszcze parę dziesiątków lat, a stanie się ona wartością, drogą narodowi.

Pewna grupa postępowców warszawskich pociesza się jeszcze tem, że autonomia kulturalna żydów nikomu nie zaszkodzi i że żydzi, otrzymawszy autonomię kulturalną, „będą tylko narodowością kulturalną i nawet wtedy politycznie mogą oni być narodowości polskiej" (p. Nowa Gazeta, Nr. 32, art. p. t. Materyały do sprawy żydowskiej). Pogląd ten jest zgoła fałszywy. Nacyonaliści, wywalczywszy autonomię kulturalną, bynajmniej na tym punkcie nie zatrzymają się i będą w następstwie domagali się autonomii politycznej; zawsze bowiem w ślad za dążeniami kulturalnemi idą dążenia polityczne. Ale pomijam już tę stronę, jako na razie nieaktualną, — na samą autonomizacyę kultury żydowskiej należy zapatrywać się, jako na zjawisko, w wysokim stopniu dla żydów szkodliwe.

Przedewszystkiem żargon, jako język niewyrobiony, nie może stać się narzędziem oświaty tak doskonałem, jakim jest język od wieków wyrobiony. O ile przy nauce elementarnej może on jeszcze oddawać jakie takie usługi, o tyle w szkołach średnich, a tembardziej wyższych zdradzać będzie swe niedołęztwo i wymagać nieustannych uzupełnień. Powtóre, chcąc żargon uczynić narzędziem kultury, należałoby podjąć syzyfową pracę przełożenia nań mnóstwa skarbów literatury europejskiej. Z dwóch tych faktów bije, że chcąc szerzyć oświatę w żargonie, przyszłoby zużyć masę sił całkiem nieprodukcyjnie.

Ale na tem nie koniec. Dzieje ostatniego stulecia dowodzą, że żyd ukulturowany zawsze prędzej, czy później asymiluje się ze swem otoczeniem. Tak było w Niemczech, we Francyi, we Włoszech, w Anglii, w Ameryce. Tak samo będzie i w Polsce. U nas proces asymilacyi odbywać się będzie nieskończenie dłużej, wpływa bowiem na to fatalny stosunek procentowy ludności żydowskiej do rdzennego społeczeństwa, — ale bądź co bądź, *w ostatecznym rezultacie ludność żydowska zostanie zasymilowana przez silniejszą, zarówno ilościowo, jak i kulturalnie narodowość polską*. Jeżeli tak, jeżeli asymilacya żydów z narodem polskim jest koniecznością dziejową, to po co rzucać pod nogi procesowi asymilacyi kamienie, po co piętrzyć trudności, skoro prędzej czy później musi zwyciężyć prąd, niwelujący odrębność kulturalną żydów? Jeżeli ostatecznym produktem ukulturowania mas żydowskich ma być ich spolszczenie, to czyż nie jest absurdem dążyć do niego krętą i zawiłą drogą nacyonalizacyi, zamiast krótką i bezpośrednią stopniowego polszczenia. Ten krótszy proces był dotąd jedynym, jaki w historyi żydów polskich znaliśmy. Żydzi zawsze dotąd przeskakiwali odrazu od ciemnoty ghetta do kultury polskiej. Tą drogą powstawały całe generacye polaków-żydów. I gdyby nie hasła nacyonalistyczne, proces asymilacyi w dalszym ciągu odbywałby się bez żadnej przeszkody, nikogo nie gorsząc i nikogo nie obrażając.

Do jakiego stopnia niebezpiecznym jest prąd nacyonalistyczny, najlepiej świadczy fakt, że potrafił on wprowadzić zamęt do umysłów, skądinąd wrogich wszelkiemu nacyonalizmowi. W odezwie grupy postępowej warszawskiej (p. Nowa Gazeta, Materyały do sprawy żydowskiej) czytamy, co następuje: „musimy otwarcie oświadczyć współobywatelom — żydom, że uznajemy ich prawa do zorganizowania się w narodowość kulturalną z językiem żargonowym". Tak piszą postępowcy polscy, nie rozumiejąc zgoła, iż *dążenia nielicznej garstki fanatyków, wobec istnienia wręcz przeciwnych dążeń wśród licznego stronnictwa zasymilowanych żydów, są podstawą zbyt kruchą, aby można było budować na nich programy polityczne dla całej ludności żydowskiej.*

Jeżeli nacyonaliści wołają, że lud żydowski dąży do zachowania swej odrębnej kultury narodowościowej, to kłamią, albowiem *lud żydowski nie dąży do niczego, a właściwie dąży jedynie do zachowania swej odrębnej ciemnoty narodowej. Tę dążność do zachowania odrębnej kultury posiadają tylko nieliczni agitatorzy i oni dążność tę masom suggestyonują.*

Żyd-ortodoksa żargonu bynajmniej nie kocha i posiłkuje się nim jedynie z konieczności. Gdy tylko poznaje jako tako język polski, natychmiast żargon porzuca. Ileż to jest u nas rodzin półkulturalnych, które wolą w domu posługiwać się lichą polszczyzną, niż żargonem. Kto więc utrzymuje, że żydzi przywiązani są żywiołowo do żargonu, tak jak np. Polacy do języka polskiego, szerzy tendencyjnie fałsz. Toć nawet nacyonaliści żydowscy, ci bałwochwalcy żargonu, w domu mówią po polsku. Idźcie do ich domostw i posłuchajcie, po jakiemu mówią oni ze swemi żonami i dziećmi, a częstokroć usłyszycie najczystszą polszczyznę, a przecież nigdzie chyba człowiek nie jest tak sobą, jak u swego domowego ogniska. Gdy Litwin, Rusin, Ukrainiec mówią mi o swem gorącem przywiązaniu do ojczystego języka, to im wierzę, bo w językach tych ojcowie błogosławią swych synów, matki śpiewają nad kołyskami swych dzieci, młodzieniec przysięga miłość swojej lubej; ale gdy mi mówi nacyonalista żydowski o swoim kulcie dla żargonu, to kłamie i kłamstwem swem obałamuca opinię publiczną.

Ruch żargonowy nie jest ruchem żywiołowym, nie idzie on z dołu, lecz z góry, biorąc początek w rozegzaltowanych głowach samozwańczych przywódców ludu żydowskiego. I niech nam nie mówią panowie nacyonaliści o swem istotnem przedstawicielstwie potrzeb kulturalnych tego ludu. Ten lud ciemny, przesądny, fanatyczny, na ogół biorąc, nie chce żadnej oświaty, ani tej, którą mu proponuje asymilacya, ani tej, którą mu narzuca nacyonalizm. Żyd-ortodoksa marzy jedynie o jednem: o pozostaniu w swem duchowem ghetto.

Ale kłamstwo, które szerzą nacyonaliści, jest im potrzebne. Czują oni doskonale, że kultura europejska czyni olbrzymi wyłom w separatyzmie żydowskim. Wiedzą oni dobrze, że jedynem spoidłem żydów, czyniącem z nich odrębny naród, jest ich stara biblijno-talmudyczna kultura i że z jej runięciem zawali się fundament ich odrębności narodowościowej, a tego nacyonaliści za nic w świecie nie chcą. Aby więc uratować narodowość, wywlekają z zaułków ghetta pokaleczoną niemiecką gwarę, wmawiają w tłumy, że to jest ich język narodowy i zamiast starego Boga-Jehowy każą im czcić nowego Boga-żargon. Żargonem usiłują spoić nanowo pękającą oś promieni kultury aryjskiej, odrębność narodowościową.

(d. n.).

Dr. Adam Wizel.

Z Towarzystwa Kultury Polskiej.

Dnia 9 czerwca odbył się pierwszy zjazd Towarzystwa Kultury polskiej. W Muzeum przemysłu i rolnictwa o 10 ej godzinie rano zaczęli zbierać się delegaci autonomicznych kół prowincyonalnych oraz członkowie warszawscy. Obrady zagaił prezes Towarzystwa, Aleksander Świętochowski, wyjaśnieniem, że celem zebrania nadzwyczajnego jest chęć porozumienia się z oddziałami prowincyonalnymi.

Po wybraniu przewodniczącego posiedzenia członkowie wysłuchali 5 referatów o pracach i planach kulturalnych Towarzystwa na przyszłość, rozwijanych przez jego sekcye. Pierwszy głos zabrał Aleksander Świętochowski i powiedział o zadaniach Kultury Polskiej, określając znaczenie dwóch pojęć: cywilizacyi i kultury. Oba te wyrazy tak się upodobniły, że się prawie zatarła różnica między nimi zarówno w języku ogółu, jak uczonych — a jednak różnica ta istnieje. Wyobraźmy sobie, że społeczeństwo nasze mocą czarodziejską otrzymało najdoskonalsze warunki życia: szkoły na wzór niemiecki, koleje i drogi na wzór angielski, sądy na wzór francuski, muzea na wzór włoski; ale w tych szkołach nauczyciele biją dzieci, kon-

duktorowie na kolejach przemycają pasażerów, sędziowie w sądach biorą łapówki —przy takim stanie rzeczy mielibyśmy cywilizacyę, lecz ani śladu kultury. Jest ona wykwitem długo działających wpływów cywilizacyjnych, które oczyszczają duszę ludu ze wszystkich właściwości dzikości i barbarzyństwa i powoli doprowadzają ją do tego stanu wysokiej uprawy, że może wydawać tylko piękne i wonne kwiaty. Państwo może być pokryte całą siecią najdoskonalszych urządzeń pocztowych, dróg bitych; może posiadać prawo, surowo karzące każde przestępstwo, więzienia hygieniczne, może opiekować się losem więźniów—ale to będzie cywilizacya; kulturę osiągnie ono dopiero wtedy, jeśli każdy list, nawet źle zaadresowany, dojdzie swego przeznaczenia, jeśli urzędnicy pocztowi nie będą wykradać banknotów z kopert nieasekurowanych a inżenierowie kamieni przeznaczonych do naprawy dróg, jeśli więzienia będą puste a prawa okażą się zbyteczne. Anglia posiada mało praw pisanych a jednak jest typowym okazem narodu kulturalnego. Prusy są skrępowane mnóstwem przepisów drobiazgowych a mają tylko cywilizacyę. Prusak jako nauczyciel łamie uczniom palce linią, jako kolonizator urzędowy strzela do murzynów dla wypróbowania doniosłości karabina, jako żołnierz kradnie; wszystkie te objawy byłyby niemożliwe, gdyby obok wysokiej cywilizacyi naród ten posiadał jeszcze kulturę. Ale do nazwy kulturalnego ma prawo tylko ten naród, który jest takim we wszystkich swoich warstwach. Gdzie w kulturze nie ma udziału lud "tam ona jest skrzynką z klejnotami rozmaitego pochodzenia i szlifowania, służącymi do ozdoby pasorzytów pracy i pieszczochów losu. Gdzie ją wyrabiają wszyscy, tam jest ona chlebem powszednim, ogromną masą dobra, wiedzy, piękna i pożytku, tam ona stanowi potężną dźwignię ruchu i współczynnik postępu świata"

Cywilizacya dotyczy rzeczy, kultura—ludzi, pierwsza obejmuje zewnętrzne warunki życia społecznego, druga jest jego wytworem, treścią wszechstronną.

Badacz angielski Sutherland dzieli rozwój ludzkości na cztery okresy: dzikości, barbarzyństwa, cywilizacyi i kultury; każdy z tych okresów ma jeszcze stopnie. Otóż, przodujące narody Europy i ich odrośle znajdują się dopiero w stanie *niższej kultury*; średnią mogą osięgnąć za 400—500 lat dopiero a o wyższej rzecz ryzykowna teraz mówić, gdyż oddaloną jest od nas o jakie 1000—2000 lat.

Społeczeństwo zaś nasze nie stoi nawet na niższym stopniu kultury: nie mamy ani powszechnego wykształcenia, ani praw uchwalonych przez reprezentacyę narodową, ani łatwego zaspakajania potrzeb naszych. Jesteśmy narodem rozdartym i chodzącym w trzech jarzmach, kultura nasza jest ułomną. Co mamy uczynić, ażeby ją rozwinąć i uzdrowić?

Zadania Towarzystwa Kultury polskiej w tym względzie są bardzo liczne i szerokie. Mylnie jest ono dotąd uważane wyłącznie za organ szerzenia oświaty, gotów do współzawodnictwa i walki z Macierzą szkolną. Tymczasem praca oświatowa stanowi tylko część zadań Towarzystwa i to głównie w zakresie wytwarzania wzorów. Jeśli Towarzystwo Kul. polskiej postawi szkołę, to musi ona być doskonałą pod każdym względem — i jako budynek i jako metoda nauczania, bo ta szkoła ma się stać wzorem dla wszystkich innych, jakie dookoła niej powstawać będą. W ten sam sposób pojęte i wykonane musi być wszystko, co z rąk Towarzystwa wychodzi. Obowiązkiem jego wytwarzać we wszystkich kierunkach wzory, według których będzie się urabiać kultura kraju. „Bo kultura nie jest jedynie umiejętnością czytania i pisania, nie jest jedynie wiedzą.

„Jeśli nasz lud nauczy się wprawnie używać książki i pióra, przez to samo kulturalnym nie będzie. Musi on nadto uszlachetnić się moralnie, wstąpić na ten poziom dobrobytu, który stanowi niezbędną podstawę potrzeb i pragnień wyższego rzędu, czuć popęd do zbiorowego tworzenia warsztatów i rozpalania ognisk demokracyi. Chociażby on szedł do kościoła z modlitewnikiem, a w kancelaryi regenta podpisywał pod aktem sam swoje nazwisko, dopóki mieszka w wilgotnej lepiance z nieotwieranemi nigdy oknami razem z trzodą chlewną: dopóki karmi się niemal wyłącznie kartoflami i myje się tylko przymusowo podczas deszczu; dopóki nie kradnie i nie zabija z obawy przed karą; dopóki patrzy na wszelka nowość z niewiarą, a wszelkie stowarzyszenie uważa za podstępną pułapkę; dopóki wynajduje najrozmaitsze fortele dla uchylenia się od obowiązku poprawy dróg; dopóki nie ma ani kooperatyw, ani kas pożyczkowo-oszczędnościowych, ani domów rozrywki, ani przedstawień teatralnych; dopóki tak leniwie łączy się z rozwojem społecznym jak przybrzeżny muł z nurtem rzeki,—niewiele mu pomoże znajomość liter drukowanych i pisanych. Dlatego Towarzystwo Kultury Polskiej nie poprzestało w swych zamierzeniach na jednej niwie oświaty, lecz dołączyło do niej inne—ekonomiczną, społeczną i moralną, dlatego zalecać ono ciągle będzie członkom, ażeby w tej jednej nie zamykali swoich starań."

W następnym referacie p. Bolesław Rotwand przedstawił sprawę utworzenia sądów polubownych i obywatelskich przy T. K. P. Potrzeba społeczeństwu takiej instytucyi kulturalnej i bezpartyjnej, opartej na zaufaniu ogółu i w niem czerpiącej siłę moralną. Sądy rozjemcze są zdawna czynne w Europie Zachodniej, ich wyroki przy zachowaniu pewnych przepisów posiadają moc obowiązującą. Trzeci referent, p. Władysław Semadeni mówił o oświatowych zadaniach T. Kultury Polskiej. Są one ważne, niemal najważniejsze. Pole ich jest tak rozległe, że aby uniknąć rozproszenia sił, trzeba skierować pracę na razie tylko na najbliższe. Są one dwojakiego rodzaju: peryodyczne i stałe. W celu szerszego oddziaływania na masy trzeba stworzyć ruchome i wędrowne instytucye kulturalno-oświatowe tam, gdzie dla stałych niema jeszcze dostatecznych sił i środków; do takich należą: odczyty popularne, wydawnictwa tanie, biblioteki, wystawy naukowe, hygieniczne, rolnicze itp. Niektóre z tych pomysłów znalazły już wykonawców przed dwudziestu laty w granicach naturalnie robót podziemnych, mocno skrępowanych warunkami prześladowania i niewoli. Wydawnictw tanich, jakkolwiek pod knutem cenzury, puściliśmy sporo między lud; istniały też bardzo licznie biblioteczki ruchome i stałe. Odczyty proponowane przez referenta, tem mają się różnić od dotychczasowych, że połączone być winny z rozdawnictwem bezpłatnych broszur, zawierających ich streszczenie. Do liczby urządzeń koniecznych referent zalicza również urządzanie muzeów, które tymczasem powinny zastąpić wystawy z różnych dziedzin życia społeczno-ekonomicznego.

W drugim dziale—instytucyj stałych referent proponuje organizacyę kół samokształcenia, biur informacyjnych, w których na każde zwrócenie się czy listowne, czy osobiste, otrzymywanoby żądaną radę, wskazówkę lub objaśnienie, oraz zakładanie szkół wzorowych. To ostatnie zadanie, bodaj że najważniejsze, brak środków czyni niezmiernie trudnem. Niema również nauczycieli, odpowiadających wymaganiom takiej szkoły wzorowej. Wszystko więc niemal stworzyć trzeba, zaczynając od samego początku—jak ten, kto ze zglisz i ruin dźwignąć musi nową budowę dla nowego życia.

W czwartym z kolei referacie dr. Wacław Męczkowski przedstawił konieczność stworzenia w łonie T. K. P. takiej organizacyi, którąby zajęła się badaniem stanu kultury krajowej. Wśród tej pustki, jaką przedstawia ziemia nasza pod tym względem, wszędzie rzuca się w oczy nędza naszego życia, morze spraw pilnych i potrzeb naglących. Niema sił dla zaspokojenia wszystkich, więc trzeba je rozpatrzyć, zgrupować i posegregować według wzajemnej łączności. W tym celu konieczne jest gruntowne zapoznanie się z różnymi stanami naszego istnienia. Pod tym względem nic u nas dotąd nie zrobiono. Oświata, szkolnictwo, przemysł, sprawa robotnicza, włościańska, emigracya, handel, stosunki ekonomiczne—wszystkie te dziedziny u nas stanowią las dziewiczy, wydeptany trochę po brzegach, ale do którego głębi nie przeniknęło jeszcze oko żadnego poważnego badacza. Gdzieindziej dla takich badań tworzą osobne instytucye.

U nas do tej pracy przedewszystkiem zabrać się powinna prowincya — jej połączone usiłowania mogą dać jedynie pewne i na prawdzie oparte wyniki: zbieranie materyałów w jej ręce złożyć należy. Taka dopiero praca da nam obraz istotnego stanu społeczeństwa, a jednocześnie pobudzi i wciągnie wielu ludzi do czynu, wydobędzie na jaw drzemiące w nich siły; w dodatku oparta na szerokich podstawach kooperatywy, praca ta będzie prawdziwie demokratyczną.

Najlepszą, może źle lub niedostatecznie wyzyskiwaną formą takich badań są kwestyonaryusze. Samo zbieranie odpowiedzi na postawione w nich pytania z musza częstokroć sięgnąć do jądra rzeczy.

Według ułożonego programu praca cała ma obejmować następujące działy: dane statystyczne o ludności, stosunki ekonomiczne, handlowe, społeczne, oświatowe, hygienę społeczną, alkoholizm, prostytucyę, ogólną występność.

Kwestyonaryusze, opracowane w centralnem T. K. P. mają być przesłane przed wydrukowaniem oddziałom prowincyonalnym dla ostatecznego rozpatrzenia i uzupełnienia tego, co zostało pominiętem. Jest nadzieja, że kwestyonaryusz, który przeszedł takie roztrząsanie, odpowie całkowicie potrzebom sprawy.

Po doktorze Męczkowskim przemawiał jeszcze p. Stanisław Wojciechowski, uzasadniając w gorących słowach potrzebę jak najliczniejszego tworzenia u nas form życia zrzeszonego.

Tę część obrad zakończono wyborami: na miejsce ustępujących z zarządu członków: p. Wacława Jezierskiego i p. Kazimierza Natansona powołano pp. adwokata Władysława Chrzanowskiego i adw. Mejro.

Po półtoragodzinnej przerwie zebranie zajęło się rozpatrzeniem wniosków Zarządu, dotyczących zmian niektórych paragrafów ustawy oraz regulaminu, a następnie rozstrząsaniem wniosków oddziałów prowincyonalnych. Obrady długie, drobiazgowe, nużące i, jak u nas zwykle bywa, w wielu razach czcze i bezpłodne, przeciągnęły się do późnej godziny.

Przewodniczył zebraniu p. Mierzejewski, inżynier z Suchedniowa, który zaprosił na asesorów doktorowę Rajkowską z Ciechanowa i p. Jabłkowskiego z Warszawy.

I-szy Zjazd kobiet polskich.

Słowo stało się... czynem. Kto w niedzielę 9-go czerwca b. r. o godz. 2-iej popołudniu ogarnął wzrokiem widownię Filharmonii, napewno o przeistoczeniu się słowa w czyn nie mógł wątpić. Morze głów, zwarte fale ramion, szmer tysięcy przyciszonych głosów, a po nad tem wszystkiem króluje zasłonięta jeszcze w tej chwili kurtyną estrada. W tem dano znak, rozsuwa się zasłona, jeszcze momentów kilka oczekiwania, i... zrywa się huragan oklasków, deszcz kwiatów spada na widownię, ścieląc się do stóp tej, która ten gorący, żywiołowy entuzyazm wzbudza, do stóp natchnionej poetki, Maryi Konopnickiej. Ta chwila—to szczytny, kulminacyjny moment Zjazdu—czuje się, że ten hołd złożony zostaje twórczemu duchowi odruchowo, bez przygotowania, bez nakazu, jedynie z głębi ukochania tego, co wielkie, co wzniołe, co nieśmiertelne... Obsypana powodzią kwiecia wieszczka chce przemówić, sili się opanować wzruszenie, potężny szmer milknie, cisza uroczysta zalega salę, a w tej ciszy rozbrzmiewają wreszcie pierwsze słowa gorącego, bratniego powitania, z jakiem poetka zwraca się do zebranych. Wita z radością, wita po dwakroć tych, którzy z dalekich dróg, z kresów i rozerwanych dzielnic Ojczyzny przynoszą swą pracę do wspólnego ogniska uczuć i myśli, stwierdzając niepodzielność Ducha polskiego i dążeń Narodu.

I w pierwszym zaraz wstępie mowy swej powitalnej wyraźnie zaznacza poetka własny swój, serdeczny do ruchu kobiecego stosunek. Nadspodziewanie liczne zebranie uczestników pozwala jej postawić jaknajpomyślniejszą wróżbę obradom w ważnych sprawach, a „w pierwszej linii w sprawie równouprawnienia kobiet, która wśród nich naczelne miejsce trzyma".

Otwarcie Zjazdu przez Maryę Konopnicką niezmiernej dodaje mu powagi. Zaliczenie się jej do hufca szermierzy, których zjazd jest zszeregowaniem, a którzy przebojem zdobyć muszą miejsce, drogę i posłuch, bowiem idea, jakiej służą, nie wcieliła się jeszcze ostatecznie w nowy kształt życia, kładzie odrazu piętno dojrzałości społecznej na całym Zjeździe.

Życzeniem, aby prace jego były bujnym posiewem światła, dobra sprawiedliwości wezwaniem do pracy tej otwiera Konopnicka obrady.

Tak uroczyście wzywającem do miłości i jedności słowem zagajony Zjazd obraduje już od dni paru. W chwili, gdy słowa te piszę, jedna trzecia spraw pozostała jeszcze do załatwienia. Mimo to już dzisiaj pewne ogólne uchwycić można wrażenie. Mówię: ogólne, bowiem, narazie, w szczegółach rozejrzeć się trudno, nie pozwala zresztą na to brak miejsca w piśmie, które wszystkie przejawy i placówki życia społecznego uwzględniać pragnie. Narazie więc, powtarzam, ogólne zanotuję wrażenie. Przedewszystkiem jednak porozumieć się wypada w sprawie miary, jaką do poziomu Zjazdu przyłożyć należy. Otóż powszechna to cecha Zjazdów, że na nich—wbrew oczekiwaniom i założeniu bardzo niewiele nauczyć się można. Mnogość spraw, a stąd znaczna liczba referentów zniewala do ścisłego ograniczania długości ich przemowy. Ta krótkość czasu każe z konieczności streszczać się, nie pozwala rozwinąć ani pogłębić tematu, po którym najczęściej po wierzchu zaledwie prześlizgiwać się wypada.

Na tę ułomność, na ten brak cierpią wszędzie i zawsze wszystkie Zjazdy, nie mógł więc być też od nich wolnym i pierwszy w Królestwie Zjazd kobiet polskich. A jeśli nawet chcąc o Zjeździe tym szczery sąd wygłosić, mocniej bodaj niż gdzieindziej braki powyższe podkreślić wypadnie, rzecz to aż nadto zrozumiała. Skoro nawet rutyna zjazdowa, jak na dorocznych Zjazdach lekarskich, przyrodniczych, nauczycielskich, ustrzedz nie może od wadliwości w powyższym kierunku, o ileż bardziej wytłomaczone są pod tym względem kierowniczki, po raz pierwszy Zjazd organizujące.

Jeśli więc te i owe usterki zaznaczam i podnoszę, czynię to jedynie w nadziei, że Zjazdy takie, które bądź co bądź — bez względu na brak właściwego pouczania—doniosłe mają znaczenie pedagogiczne, uświadamiające i popularyzujące, częściej odtąd powtarzać się będą. Za ogólną zasadę przygotowywania referatów na Zjazd przyjąć należałoby w pierwszym rzędzie: mowy programowe, dalej: krytykę istniejących urządzeń z konkretnem wskazaniem nowych dróg i środków, wreszcie: sprawozdanie z dokonanej działalności celem zachęty, wskazówki i nauki dla innych. Unikać należałoby natomiast upustu sentymentów, deklamacyjnego nudzenia się i nierzeczowego rozwodzenia na temat bolączek bądź ogólnych, bądź nawet specyalnych. Otóż, powiedzmy otwarcie, że na tym ostatnim punkcie szwankuje Zjazd najbardziej. Czy nie lepiej byłoby i korzystniej, aby zamiast długich—zbyt często przekraczających 20-o minutową normę—oracyj więcej pozostawić czasu na dyskusyę? Że tak jest, mieliśmy okazyę stwierdzić w ciągu samego trwania obrad. Gdy mianowicie czujne, w osobie pani Bujwidowej z Krakowa, prezydyum sekcyi pedagogicznej, biorąc pod uwagą głosy publiczności, skreśliło z porządku dziennego parę referatów, aby natomiast rozszerzyć ramy dyskusyi, odrazu potoczyły się obrady żywiej, ze wzmożonym dla omawianej kwestyi (seminaryum pedagogiczne imienia Orzeszkowej) pożytkiem. Powinno też być to nadal ważną wskazówką dla kierowniczek poszczególnych sekcyj, które nadto stanowczo żądać muszą od referentów i referentek nadsyłania w oznaczonym z góry terminie referatów komisyom. Na komisyach tych zaś ciążyć powinien bezwarunkowo obowiązek odczytywania całkowitych referatów celem niedopuszczenia przedewszystkiem nużących powtarzań się, a nadto sprawdzenia, czy referaty nie przekraczają zakreślonych im ram i czy ściśle wiążą się ze wskazanym tematem. Takie kładzenie głównego nacisku na poważną przygotowawczą pracę w sekcyach ustrzeże na przyszłość od wielu braków i błędów, od jakich—rzecz prosta—nie mógł być wolnym Zjazd pierwszy.

Wytknąwszy z obowiązku bezstronnego sprawozdawcy poszczególne niedomogi, z tem żywszą przyjemnością powrócić mogę do zdania sprawy z ogólnego charakteru i nastroju Zjazdu. Otóż stwierdzić wypada, że Zjazd na ogół udał się doskonale. Niezmiernie, nadspodziewanie licznym jest Zjazd uczestniczek ze stron najdalszych. Dużo widzimy kobiet, mieszkających na kresach i spragnionych gorąco żywego z mównicy publicznej słowa polskiego, którego przez tak długi czas były pozbawione, spory zastęp nauczycielek ludowych, żądnych informacyi i wskazówek w sprawie nowych w pedagogii prądów, a nawet pewna garstka uświadomionych robotnic i włościanek. W obec tak licznego zgromadzenia się uczestników, tem większe ciążą na poszczególnych sekcyach obowiązki zadośćuczynienia żądzy wiedzy, z jaką przybyłe, pełne ufności, do Zjazdu się zwróciły.

I jeszcze jedna na zakończenie ogólna uwaga. Zjazd, jak w swoim czasie pisaliśmy, zwołany był pod hasłem bezpartyjności. Wiemy, jak endeczki bezpartyjność tę zrozumiały. Okazuje się jednak, że i my do bezpartyjności albośmy nie dorośli, lub też z niej już wyrośli. Pomimo nadzwyczajnej bowiem oględności, i taktu faktycznej Zjazdu przewodniczki, d-ra Tomaszewicz-Dobrskiej, pomimo zastrzeżenia w regulaminie, aby nie poruszać spraw partyjnych i religijnych sytuacya zaostrzała się w sposób chwilami groźny przy lada okazyi, z byle powodu ostre zaznaczały się różnice, świadczące, że w obecnych naszych warunkach bezpartyjność jest—utopią.

Tyle na dzisiaj! Bardziej szczegółowy przebieg obrad każdej z sekcyi z osobna rozpatrzymy w numerze następnym.

R. C.

Listy z Francyi.

Manifestacye na południu Francyi. Kryzys winny.

Od dwóch miesięcy południowe departamenty Francyi a mianowicie Aude, Hérault, Gard i Pyrénées Orientales są widownią nieznanych dotąd w dziejach manifestacyj. W starej Langwedocyi rozgrywa się wzruszający dramat: cała ludność domaga się energicznie i rozpaczliwie pracy i chleba. Przez długi czas cierpliwie znosiła niedostatek, ufna w pomoc i opiekę władz, teraz cierpliwość jej się wyczerpała, występuje przeto sama bez pośredników, głośno objawia swe niezadowolenie, swój gniew i żąda natychmiastowego zaradzenia wzrastającej nędzy.

Inicyatorem ruchu jest drobny posiadacz Marceli Albert, mieszkaniec małej gminy Argelliers. On to już od lat siedmiu nie opuszczał żadnej sposobności, aby zwrócić uwagę rządu na grożący tej części kraju kryzys, oraz poruszyć swych współobywateli do akcyi obrończej. Ale komisye, wysadzane peryodycznie dla wywiadów, nie słuchały go, a współobywatele przywykli traktować go z lekceważeniem.

Niezrażony jednak niepowodzeniem a ożywiony głęboką wiarą, podwajał on starań i oto doprowadził w obecnej chwili do tego, że ruch ten ogarnia milionową ludność. Rząd wobec niego był zmuszony postawić na pierwszym planie rozpatrzenie przyczyn kryzysu, oraz złożyć projekt prawa, mającego na celu ukrócenie fałszowania wina.

Sprawa ta dziś zajmuje powszechną uwagę; wszystkie bez wyjątku gazety poświęcają jej niemało miejsca, jak gdyby już nie popłacały opisy sensacyjnych zbrodni i wielkoświatowych skandali.

Już pierwszy mityng w Coursan, w dniu 14 kwietnia, zgromadził zadziwiającą wszystkich liczbę 6,000 osób, następny d. 21 kwietnia w Capestang liczył 15,000, wreszcie 28 kwietnia w Lézignan było aż 25,000. Wieść o tak olbrzymiem zebraniu lotem błyskawicy dostała się do wszystkich zakątków Francyi, budząc ogólny podziw. Nikt jednak nie przypuszczał, ażeby entuzyazm ludności mógł przybrać jeszcze większe rozmiary, aż oto mityng następny w Narbonne 6 maja ściągnął 80,000 osób, 12 maja w Béziers zgromadziło się 150,000, 19 maja w Perpignan — 170,000. 26 maja w Carcassonne — 200,000, 2 czerwca w

Nîmes też 200,000, a 9 czerwca ma się odbyć w Montpellier.

Trudno wprost uwierzyć w podobną masową wędrówkę ludu, niezakłóconą żadnym wypadkiem, żadnym wybuchem namiętności, żadnym zatargiem. Co niedziela w oznaczonem miejscu gromadzą się od świtu okoliczni mieszkańcy, przy pomocy wszelkich możliwych środków komunikacyi, koleją, wozami, rowerami i pieszo, obsiadają brzegi trotuarów i spożywają swe skromne zapasy jadła, a następnie we wzorowym porządku, zgrupowany dokoła swych gminnych sztandarów i różnych haseł, wypisanych na tablicach, przechodzi ten cały pochód przez miasto, skierowując się do placu wyznaczonego na wiec. Ani policyi, ani wojska nie widać, a tłum idzie spokojnie, porządnie, z jakąś uroczystą, niemal religijną powagą.

Organizatorzy nie chcą, by te pochody miały charakter wesoły, świąteczny, więc ani śpiewu, ani muzyki niema, tylko trąbki myśliwskie i bębny od czasu do czasu się odzywają, jakby dla podniecenia uwagi ogólnej i czujności. W pochodzie biorą udział zarówno mężczyźni jak kobiety, oraz starsza dziatwa. Młode dziewczęta niosą zwykle sztandary, często krepą owinięte dla tem silniejszego zaznaczenia, że to nie zabawa, nie pusta uciecha, a misya poważna do spełnienia.

Hasła wypisane na tablicach są przeróżne, większość ich zawiera słowa groźby dla fałszerzy wina, bo oni to sprowadzili klęskę na kraj, niegdyś mlekiem i miodem płynący, a więc: „Guerre à la fraude" (wojna fałszerstwu). „Mort aux fraudeurs," (śmierć fałszerzom). „Etranglons les fraudeurs" (poduśmy fałszerzy) i t. p. Inne zaś wyrażają opłakany stan ludności: „Saluez la misere qui passe", (Uczcijcie nędzę, która idzie) „Du pain ou un fusil" (Chleba lub strzelbę), lub też grożą odmową płacenia podatków i użyciem środków nielegalnych. Niektórzy niosą emblematy nędzy, jak próżne sakiewki, na drzewcu osadzone buraki (które dostarczyły cukru dla fałszerzy), lub bochenki chleba z napisem: „ostatni". W przemówieniach zaś powtarza się ciągle taż sama groźba, że jeśli nie pomogą środki legalne, trzeba będzie użyć wszelkich innych: „Żebrakami nie jesteśmy, domagamy się tylko tego, do czego mamy niezaprzeczone prawo, jeśli więc zajdzie potrzeba wystąpimy inaczej, użyjemy drogi nielegalnej."

Co zaś pod tem wyrażeniem rozumieć należy, to wyjaśnia nam decyzya, zapadła 12 maja po wiecu w Béziers na zebraniu 1500 delegatów gminnych, która brzmi, jak następuje: „Jeśli rząd do d. 10 czerwca nie przedsięweźmie środków zaradczych dla podniesienia cen wina, nikt płacić podatków nie będzie, a cała administracya gminna poda się do dymisyi."

Inicyator i kierownik tego potężnego ruchu, Albert, stał się dziś bożyszczem tłumu; zarówno starcy, jak młodzieńcy przeciskają się by uścisnąć jego rękę, lub ucałować; kobiety podnoszą swe dzieci do góry i mówią „patrz, to nasz Zbawca". Niewątpliwie tłum ten byłby mu posłusznym ślepo i bezgranicznie, gdyby on cośkolwiek pragnął zrobić. Ale ów „Redempteur" (Zbawiciel), jak go powszechnie nazywają, nawołuje jedynie do jedności i spokoju, popularność, jaką zdobył, nie upoiła go dotąd, nie znać w nim żadnej ambicyjnej dążności, cieszy się tymi kolosalnymi rezultatami agitacyi, bo wierzy, że zbawienie przyjść musi dla nieszczęśliwej Langwedocyi. Powtarza zawsze: „Bądźmy zjednoczeni bez różnicy przekonań! Precz z nienawiścią, a szczególnie precz z polityką! Brońmy się do upadłego i nie dajmy się zwyciężyć!"

I w obec tego niebywałego zjawiska wszyscy zadają sobie pytanie: co pocznie rząd, czem tę ludność uspokoi parlament, czy istnieją jakieś środki zaradcze, możliwe do zastosowania w praktyce i istotnie skuteczne?

Oczywiście lekarzy na różne objawy niemocy społecznej nigdy nie brak. I w danym więc wypadku proponowane są rozmaite sposoby rozwiązania kwestyi.

Jedni, widząc przyczynę złego w nadprodukcyi, dowodzą, że należy uprawę wina zmniejszyć przez zniszczenie szczepów winnych na przestrzeni 70,000 hektarów ziemi. Ale projekt ten najwięcej oburza południowców, którzy przecież po klęsce, jaką była filoksera, ponieśli ogromne ofiary, aby winnice odtworzyć, do czego wówczas gwałtownie nakłaniał rząd. Zresztą brak wody uniemożliwia wszelką inną uprawę, należałoby więc jeszcze przeprowadzić kanał z Rodanu do morza, aby zmienić warunki dotychczasowe. Południowcy nie wyrazili dotąd na swych olbrzymich wiecach, w jaki sposób rząd może zaradzić dotykającej ich nędzy, powiadają oni do parlamentu i rządu z całą naiwnością: „Wy z pewnością wiecie, co trzeba zrobić, weźcie się tylko do roboty, obmyślcie jaknajprędzej prawa nas zabezpieczające, wszak na to Was wybraliśmy i za to Wam płacimy".

Ach jakże zaufanie to może być zawiedzione! Bo oto mieszkańcy północnej Francyi, zainteresowani w hodowli buraków i wyrobie cukru, nie dopuszczą przecież ze swej strony do żadnych ograniczeń ich produkcyi, tak szkodliwej w skutkach dla hodowców wina. A projekt ministra finansów, Caillaux, nie zabezpiecza bynajmniej winiarzy od coraz bardziej rozwijającego się we wszystkich krajach fałszowania wina.

Dziś położenie jest okropne, dotyka ono zarówno wielką, jak i drobną własność, gdyż od lat siedmiu cena wina nie podniosła się nawet do tej normy, która równałaby się pokryciu kosztów uprawy. Zgodnie ze wszystkiemi dokonanymi wywiadami okazuje się, że średnio z hektara ziemi otrzymuje się 45 do 50 hektolitrów wina. Uprawa i zbiór wina kosztuje 600 do 700 fr. za hektar, czyli mniej więcej hektolitr kosztuje 12 fr. Tymczasem do szczęśliwych zaliczają się ci, którzy sprzedają po 10 fr., a po większej części pozbywają się po 7 lub 8 fr. za hektolitr, nie mówiąc już o tych, którzy zmuszeni nędzą oddają za 5 do 6 fr.

Nie dziw, że w takich warunkach ceny ziemi spadły o 70%; przed laty 15-u hektar wart był 6 do 15 tysięcy franków, dziś nikt ziemi kupować nie chce, a bank kredytowy ziemski nie zabiera ziemi za dług, bo wartość jej jest niższą niż suma na hypotece.

Obecnie rynki są pełne win złych, fałszowanych, a dobre leżą u właścicieli, nie znajdując nabywców. Konsumcya wina nie zmniejszyła się we Francyi, wynosi ona rocznie 65 do 75 milionów hektolitrów, a produkcya łącznie z winem importowanem z Algieru wynosi średnio 60 milionów hektolitrów. Oczywiste więc, że nie w nadprodukcyi leży źródło kryzysu, a jedynie w tem, że fałszowanie wina przybrało niebywałe rozmiary, zwłaszcza od czasu konwencyi Brukselskiej, gdy cena cukru spadła do 60 centimów za kilo, co ułatwiło wyrób wina po dwa i trzy razy z tych samych winogron, a zdobyte dzięki postępom chemii doskonałe środki antifermentacyjne, barwniki i odbarwiacze, pozwalają jak za dotknięciem różczki czarodziejskiej nadawać ponętny kolor i zapach stosownie do wymagań mody i handlu.

Przeciwdziałanie skuteczne fałszowaniu wina jest absolutnie niemożliwem, wymagałoby całej armii urzędników-chemików, których oszukiwać nauczonoby się w nader prędkim czasie. Chodzi jedynie w danej chwili o to, aby uspokoić południowców takim projektem prawa, które byłoby nader zawikłane i wymagało długiej dyskusyi w parlamencie przez wytworzenie sprzeczności interesów producentów.

Oby tylko ten wzruszający i wymowny, aczkolwiek dziś nieświadomy protest przeciw bezładowi produkcyi kapitalistycznej, nie stał się jutro świadomym swych praw i celów ruchem.

Iza Zielińska.

LITERATURA I SZTUKA.

Mieczysław Romanowski.

RYS HISTORYCZNO-LITERACKI.

Ciąg dalszy.

Żywot zewnętrzny człowieka, który ma taką misyę, będzie miał na sobie zawsze cechy dziwnej nienormalności. W życiu posłannika jest pełno nieporozumień pokrzyżowanie się prostej, jasnej, myśli jego ducha z liniami ziemskiego jestestwa. Cierpi posłannik w tem pokrzyżowaniu. Rwą mu się nawiązane nici. Zwykłe ludzkie uczucia straszą go nieraz zwyrodzoną formą, którą w nim i przy nim przybierają otoczeniu, spokojnym tłumom. Tak bywa nieraz z artystą, który śle nienawiść, z prorokiem, którym gardzą dla jego nieudolności w ludzkich sprawach i stosunkach. Tak bywa z każdym posłannikiem. I tylko jedno wybawić go może od tego ciągłego zamieszania, nieporozumień życia: wypowiedzenie się w misyi lub śmierć,—jeżeli trzeba: śmierć. Wszystko się rwie i smuci największa radość. Ach, radość życia gdzieindziej, na błoniach duszy, na dalekich błoniach misyi na polu krwawej śmierci.

Za mało skarżył się Romanowski na życiową swoją niedolę. Ale to, co zostawił w swych skargach, o tajnych jego cierpieniach i bólach daje nam światło wiedzące. W tym względzie charakterystyczne są jego dzieje miłosne.

Miłość jest dla niego potrąceniem struny, na to tylko, żeby się przekonał, że tej głos struny słabszy, niż strun, które burzę grają. We wszystkich miłosnych poezyach Romanowskiego, o ile są u niego takie, które „miłosnemi" nazwać można, czuć jakby niedociągniętą linię w rysunku, — i nasuwa się od razu określenie: rwie się.

Rwie się ta linia w skrzyżowaniu z ostrą linią duchowych wzlotów, bojowych przeznaczeń, rosnących przeczuć tragicznych. Tacy ludzie mogą unieszczęśliwiać,—i z tego zdaje sobie sprawę poeta. To też, żegnając pierwszą swoją miłość, (w r. 1857), mówi do ukochanej:

„...Ja ciebie, tęskne, niewinne dziecię,
Nie porwę z sobą na burze...
...Ramion się moich strzeż, jak gadziny,
A wspomnień o mnie jak czarta,—
Zapomnij wszystkie dnie i godziny,
Gdyś stała o mnie oparta."

I tu po raz pierwszy zdobywa się na zupełnie silne, mocy pełne, określenie duchowego swego jestestwa, wołając: *„Jam przedburzowiec, przeklęte plemię!"*

W pożegnaniu brzmi nakoniec nuta pobłażliwej ironii, pełnej utajonego smutku.

„Bądź zdrowa! — Tobie nie patrzeć na [to
Twemi oczyma modremi;
O! bo by potem, gdy przyjdzie lato,
Róży nie było na ziemi.“

Uważamy to za zupełnie naturalne, że w takiej właśnie chwili zdobył się poeta na najsilniejsze określenie swojej linii duchowej. Posłannik właśnie po ciosach życia coraz nowych zyskuje świadomość samotniczej swojej drogi, którą wielokrotnem wyrzeczeniem się okupić trzeba. I, jeśli wyrwie mu się czasem westchnienie z powodu znowu przeciętej struny ludzkiego szczęścia, to tylko dlatego, że ta struna dała mu chwilowe natchnienie, lub, że to szczęście dało mu chwilowy spoczynek wśród trudów „noclężnej warty we śpiących duchów taborze.“ Wtedy błogasławi:

„Błogosławiona—chwila mi ona“...
...„i ból“...„i sny, co w nich tonę ..“

Wtedy rozważa splot mistyczny duchów i siłę, którą mu dało natchnienie miłości:

„A taką miłość w piersi, w głębi łona,
Przez ciebie samą i dla samej ciebie: —
Ziemię nią kiedyś jak schwycę w ra- [miona,
Tam ją zawieszę,—aż w niebie!“

I rzadko odzywa się taka skarga cicha i pełna rezygnacyi, jak ta, zawarta w słowach:

„Ludzie mi szczęście i kochankę wzie- [li...“
A aniołowie... ach... gdzieś ulecieli!...“

lub taka, pełna żalu:

„Im słodki spokój płynie na skroń,
A mnie gra burza,
Im czoła gładzi kochanki dłoń
Wonna, jak róża,—
„Ach, a ja ledwie ujrzę przelotnie,
Już muszę wracać, czuwać samotnie
Na kopiec nocnego stróża...“

Taka skarga odzywa się rzadko.

Głosem, który w nieszczęściach osobistych wyrywa się z piersi poety, jest raczej zawsze ponownie a za każdym razem silniej obudzona świadomość odrębności jego drogi życiowej. Czarę, napełnioną trucizną „smutnej wieści“, wychyla do dna. Na dnie potęga jego posłanniczych przeznaczeń. Skoro wszystko traci, jeszcze dwie rzeczy zostają mu w ręku: miecz i piorun. Trzeba przywyknąć do tej myśli, trzeba się z nią z czasem pogodzić, — byle tylko już prędzej, byle nie przez długą codzienną szarzyznę!... To jest nastrój ducha poety w tej epoce:

Odtrącono go, a on zdobywa się rychło na siłę, by po tej świeżej „truciźnie“ pójść dalej, szlakiem słonecznym“, aż tam, gdzie wieczny „harmonii duch“ „przyszłe ludom tka z promieni dzieje“. Tak mocno działa na rażoną osobistem nieszczęściem duszę wspomnienie przeznaczonej „anielskiej straży“. I dlatego poeta ujmuje czarę „smutnej wieści“, jak hartowny rycerz:

„Podajcie czarę!... Pełna!—Jeśli zbladnę,
Ocućcie!—Gromem zbudźcie,—gdy u- [padnę!“

Ta poetycka rozprawa z nieszczęściem (r. 1857.) to jedna z najsilniejszych poezyi Romanowskiego:

Po powtórnem zerwaniu nawiązanej struny (r. 1858.) poeta zdobywa się już w pożegnaniu na wielką, potężną równowagę ducha:

„Dłoń podaj!—Szczęście moje miałaś [w ręku...
...A teraz żegnaj! żegnaj!—ja ból zmie- [szczę
W sercu,—jak miłość;—patrz! idę bez [lęku,—
Idę i serce już się nie pokusi
O nic... i wiem to, że drogi dokonam...
Co mi nie dało szczęście—ból dać musi!—
Potem zdobędą spokój—potem skonam.“

Ten spokój zdobywa poeta rychło. Spodziewając się, że znowu ujrzy (1859 r.) straconą a tak niegdyś miłą, śpiewa w tęsknocie spotkania rzewne, spokojne słowa, zapewniając ją, że nie przywita jej ani skargą, ani już nadzieją:

„Co myślisz, rzeknę, gdy zejdziem się [znowu,
Po dniach tak wielu i różnej kolei?...
Skargi nieść memu nie rozkażę słowu,
Ni się odemnie dowiesz o nadziei;
Jedna i druga trwoży cię daremnie...
Toż się nie lękaj! tych mar niema we [mnie.“

A z tego spokoju płyną teraz zaczarowane tony *natchnień*.

Oto są plony zawodów i goryczy w duszy poety:

Wiem, że nie dla mnie szczęścia blaski [świetne,
O szał miniony już się nie pokuszę.—
Kocham, co wielkie, czyste i szlachetne;
Ciebie, bo bielszą masz od lilii duszę:
Boś i ty sercem przeniosła szlachetność
Nad blaski świata i nad doli świetność.“

Poeta już natchnienia miłosne umieścił w sferze nadzmysłowych natchnień i uniesień.

Więc, kiedy przyjdzie stracona a długo czekana:

„Powitam ciebie, jak witam natchnienie,
Po którem w piersi złota pieśń zostaje,
Jak witam ducha mego uniesienie
W sfery słoneczne i aniołów kraje!...“ [1])

Dzieje miłosne poety pełne były cierpień, pełne prób i doświadczeń—i zahartował w nich ducha. Zrozumiał, że osobistego szczęścia dla niego niema, stał się bliższym właściwej swojej drogi. Później jeszcze raz na krótko przed śmiercią zajaśniała mu nadzieja, na to, żeby raz jeszcze zagarnąć w wichrze przeznaczonej burzy.

Okres, który poeta przebył, to był okres pierwszych porywów, krysstalizujących się pragnień, uświadamiających się dróg ducha. Wśród cierpień szukał poeta wyzwolenia „orły i sokoły“ prosił o skrzydła, Chrystusa prosił o:

„czarę ową,
Którą ci, panie, w noc ogrójcową
Anioł podawał w światłości!“

a nadewszystko czekał wyzwolenia w burzy.

Wędrówką, tułaczką—sam nazywa te lata, pełne dusznego niepokoju. Jeżeli czuje się ptakiem, bratem orłów i sokołów, to nieraz ptakiem bardzo znużonym. Taka „Chwila myśli“, o której sam pisze, że przeszedł nią straszne piekło, „przez dzieje świata snując lat tysiące“, rozważając istotę i cel ostateczny tylu krwawych wysiłków, zostawia wielkie wyczerpanie:

„Ciężką wędrówką znużony ptak
Odpocznę może,
Krwią moich piersi znaczony szlak,
Tam—za mną,—Boże!
Wichrem i gromem skrzydła podarte,
Kiedy noclężną czyniłem wartę
We śpiących duchów taborze.“

Ta „noclężna warta we śpiących duchów taborze“ przyniosła ma i trudów i goryczy wiele.

Nie posiadamy dokładnych danych o tych trudach, nie wiemy, choć domyślamy się, jaki był udział Romanowskiego w organizacyi i przygotowaniu opinii. Oczywiście głównym jego posterunkiem podówczas była jego twórczość. To była istotna „warta we śpiących duchow taborze“. Każdy, obeznany z dziejami ostatniego powstania, wie, że nie było ono wybuchem ogólnego zapału. Wszak społeczeństwo było jeszcze pod niedawnem wrażeniem roku 46-go i klęsk 48-go, zwłaszcza galicyjskie, zwłaszcza Lwów, pamiętny ostatniego zbombardowania; a Lwów był centrum działań i wpływu Romanowskiego, który przebywał tam (jako student prawa), który tam drukował niemal wszystkie swoje utwory, to w „Dzienniku Literackim“ Dobrzańskiego, to w „Nowinach“. Usposobienie ogółu było raczej pełne prostracyi. Było wielu niechętnych radykalizmowi, cóż dopiero idei powstańczej. Określić można tak, że nie tylko ci, którzy po powstaniu potępili je zasadniczo, potępiali je i przed wybuchem, ale nawet ci, którzy post factum uznali je i uwielbili (że choćby wymienimy Ujejskiego). Nic dziwnego, że w takiem usposobieniu każde wystąpienie, nawet poety. a może zwłaszcza poety w duchu rewolucyjnym było dla niego stacyą drogi krzyżowej. Niewątpliwie miał poeta wiele do ścierpienia. Po porównanie możnaby poniekąd sięgnąć do czasów dzisiejszych.

To też poeta nieraz zarze goryczą. Raz żali się, że „na twarzach spodlenie lub trwoga“, —to, prosząc Chrystusa o miłość, skarży się mu, że i jemu „ludzie żółć podawali“. Raz przyszła chwila wielkiej rozpaczy; wtedy po chwilowem zwątpieniu wyśpiewał modlitwę natchnioną, w której chyba sięgnął szczytów artysty. Tam ton najsilniejszy—to odpór przeciwko podłości. Jest to modlitwa ogromna:

„Lecę ku tobie, jako ptak wędrowny,
Skrzydłem mi, Panie, jest serce tęsknią- [ce...

. . . .

Lecę ku Tobie; bo mi z każdą wiosną
Łzy i nieszczęścia i mogiły rosną.“

Teraz chwila pokory. To nie jest zrzeczenie się najdroższych upragnień, na których życie położył. Jest to raczej pierwsze wielkie światło, które pada w duszy jego na żar powstańczych oczekiwań. Jest to pierwsze niemal już nazwanie tego żaru *mocą Bożą*; przedewszystkiem jest to wielka *modlitwa o wiarę ducha*. W blasku tych strof poeta wygląda jak prorok klęczący.

Na puszczy, w noc czuwający nad nieświadomymi umysłami swego ludu:

„Nie błagam Ciebie, byś mi ulżył krzy- [ża:
Napełń pierś moją bólem, jak chcesz, [Panie!
Nie żądam, by *dziś* błyskawica chyża
Z niebios zabłysła nam na zmartwych- [wstanie;
Jeno mi w duchu rozmnóż tyle siły,
Bym mógł się patrzeć z wiarą w te mogiły!
. . . .
Najsilniej, *kiedy będą się zapierać*
Moi gwiazd orlich—Ty wspieraj mię, Pa- [nie!
Bo, przeklinając, nie chciałbym umie- [rać,

---

[1]) „Spodziewanej“ (7 lut. 1859).

I lwa ryk wolę, niż podłych sykanie;
Więc niech zapomnę o podłości bra-
[tniej —
Niech stoję—choćby grobów stróż osta-
[tni. (1859.)

Nie dziwno, że wśród takich męczarni ducha poeta często czuł znużenie i rozpacz i—ból życia. Jest zwłaszcza dwuwiersz z jednej strofy, który wyraża z niezmierną siłą całe cierpienie tych lat i następnych, i jabym go wyrył na Romanowskiego pomniku. On powie wszystko:

„Co kocham—z mogił powstać mi nie
[może,
I w podłość tyle ludów tłuszcza dzi-
ka". [2])

To są cierpienia rodzącej się ofiary. —
W znużeniach i zwątpieniach wspierała poetę garstka tylko przyjaciół, bardzo bliskich. I nie upadał na duchu.
Do nich to wołał:

„Do lotu, ptaków wybrana drużyno!
Lata przeminą—głosy nie przeminą,
Ni szlak nasz złoty do słońca!
Szkielety nasze niby drogowskazy
Ślad im oznaczą do cudnej oazy,
Gdzie punią—Miłość bez końca!" (1857.)

Miał wśród nich wyjątkowe stanowisko, szczególny szacunek, odczuwali szczerość i siłę jego natchnień. Zdobywał się czasem na przodownictwo, wytykając odstępstwo od naczelnego tonu. Pod tym względem typowy przykład daje jego wymiana wierszy z Adamem Paygertem, którego wyszydza zlekka, że „lutnia, co brzmiała żelazem", „jak turkawka grucha i wabi" (1856).
Najściślej związany był przyjaźnią z Mieczysławem Pawlikowskim z Medyki. Widzimy poetę to w Korniowie (czerw. 1856 i 1857), to w górach Karpackich (sierpień 1856), to we Lwowie (1858), to w Żukowie (kwiecień 1858), ale zawsze wraca do ukochanej Medyki, gdzie u boku Pawlikowskiego znajduje wytchnienie i orzeźwienie i jakiś święty, cichy spokój. Pozostało z tych czasów nadzwyczaj rzewne wspomnienie (lipiec 1859.). Poeta, znużony, rozstrojony, a pełen już przeczuć, wśród wiru dni spoczął tu na chwilę — i owiała go rzewna cisza. Łzy tłoczą mu piersi... Patrzy na ich szczęście ciche, i cieszy się niem, błogo mu w tem cudzem szczęściu, jemu, który wie... Jest to tak szczery wyraz poetyckiej tragicznej duszy, tak niezmiernie plastyczny, dobry i bolesny... Błogosławieństwo.

„Pokój z wami słoneczny!—nad wasze-
[mi głowy
Niech się wiecznie uśmiecha błękit lazu-
[rowy.
Niech będzie cisza z wami......
Słodko mi patrzeć na was, żeście tak
[szczęśliwi!
Ciszej mi w dzikiej piersi......
Wszędzie mnie oczekuje jeszcze trosk
[tak mnogo:
U was jedynych myśli me w ciszy spocząć

A przyszłośc wasza tak mi nic serca nie
[trwoży,
Jakby mnie już zapewnił o niej anioł bo-
[ży!
Żegnam was! dom wasz biały zostwiam
[w pokoju.
Gdybym mógł was powitać po wielkich
[dniach boju!
Gdybym wonczas mógł witać, kiedy
[wolne rzesze
Przekują karabiny na sierp i lemiesze,
Gdyby... Ach, najgorętsza to modlitwa
[ducha!...
Cicho!... niebo otwarte... może Bóg nas
słucha?!..." (1859.)

(D. c. n.)

Gustaw Baumfeld.

[2]) „Straszno mi, Boże!" (1858.)

Z prasy polskiej.

W sprawie ostatnich zajść w Łodzi czytamy w *Kuryerze Porannym*:

Z Łodzi nadchodzą znowu krwawe, posępne wieści. Brauning znowu tam spełnia dzieło zniszczenia, czy pomsty, skrytobójstwo nie przestaje być czynnikiem, regulującym rachunki ekonomiczne, społeczne, partyjne i osobiste. Ślepe, dzikie, pierwotne instynkty szału nie mają za sobą żadnego ideowego usprawiedliwienia, nie mają już nawet usprawiedliwienia rozpaczy. Tworzą jakiś ohydny sabat zbrodni, od którego odwraca się ze zgrozą wszelkie poczucie człowieczeństwa. Szlachetna akcya podjęta przez robotników zorganizowanych i uświadomionych, aby wytrącić brauningi z rąk szaleńców, furyatów, zbirów i opryszków okazuje się bezsilną. Krew zalewa bruk łódzki, i raz po raz walają się nią jakieś ręce, hańbią dusze, trują serca...

Nie chodzi tu już nawet o jednostki, które padają ofiarą rzezi, nie chodzi o ich nieszczęśliwe rodziny, zupełnie niewinne i okrutnie krzywdzone nawet wtedy, jeśli istotnie jakaś stwierdzona wina proskrybowanej ofiary stoi w związku z samowolną karą wymierzaną przez ochotniczych katów, czy samozwańczych sędziów. Idzie o społeczny interes całej warstwy robotniczej, haniebnie i potwornie krzywdzonej przez tę orgię morderstw, która rozszalała na bruku łódzkim, idzie o sprawę powszechną, która po każdem z takich wstrząśnień otrzymuje cios, jak gdyby zamówiony i wynajęty przez jej najnamiętniejszych, najbardziej rozbestwionych wrogów.

Czyż wobec tego wszystkiego, co się dziś dzieje, mówi i pisze, najtępsze nawet mózgi, najbardziej ograniczone inteligencye nie mogą tego zrozumieć, że każda ponowna fala krwi, zalewająca środowisko szeregów, powołanych do wspólnej pracy nad przyszłością, każdy cios i każdy strzał wewnątrz „znienawidzonego obozowiska", przyjmowany jest wyciem nieukrywanej już radości wśród tych, którzy chcą je zniweczyć, zdeptać i ukorzyć?

Przekleństwo zdrady wspólnej sprawy ciąży więc na tych dłoniach, broczących się nieustannie krwią przelaną bezmyślnie i nikczemnie. Z wiedzą, czy bez wiedzy spełniają one najwstrętniejsze oprawcze rzemiosło na usługach ciemnych mocy reakcyi i ucisku; to, czego nie zdziałałyby setki siepaczy, tysiące knutów, salwy karabinowe, skierowane w piersi ludu, szubienice na stokach cytadel i działa wymierzone w ulice miast,—tego dokonywają te hyeny skrytobójczej zbrodni, wynurzające się z ciemnych zaułków ulic, aby szerzyć skrytobójczy mord i bezimienny terror.

Czynią one ze społeczeństwa, z jego warstwy robotniczej przedewszystkiem jakąś skłębioną, tarzającą się w konwulsyach, bezsilną, obłąkaną, shańbioną przez zbrodnicze instynkty, samobójczo wyniszczającą się masę, która niezdolna będzie przeciwstawić się żadnemu pchnięciu, czy kopnięciu ze strony każdej zewnętrznej mocy, gdyby zechciała nad nią się znęcać. I nie myślimy wdawać się w rozprawy nad powodami tego okropnego stanu. To obchodzi historyków i teoretyków społecznych i niech oni rozstrzygają, o ile to jest „podarunek systemu narzuconego z zewnątrz", a o ile podarunek naszej własnej bezmyślności, naszego własnego samolubstwa, naszego ogólnego zwyrodnienia pojęć i uczuć, które nie pozwoliło nam „systemowi" skutecznie w drodze materyalnego i moralnego podniesienia warstw wydziedziczonych przeciwdziałać.

To pewne, że trzeba myśleć o środkach ratunku. Robotnicy polscy, uświadomieni społecznie, rozumieją już na szczęście całą grozę otchłani niebezpieczeństw, w jaką sprawę robotniczą pogrąża samobójcza krwawa anarchia dni dzisiejszych; nie można też wątpić, że z całem natężeniem sił zabiorą się do energicznej pracy nad jej wykorzeniem. Hasłem chwili bieżącej powinno stać się dzisiaj dla nich: „Hańba i przekleństwo krwawym rękom!"

W tej samej sprawia *Gazeta polska* pisze:

Straszną puściznę pozostawiły nam po sobie dwa lata pseudo - rewolucyi i anarchii: ci, co głosili odrodzenie powszechne, nowe formy bytu i wielkie rzekomo hasła przyszłości, przeszli hordą Wandalów po kraju, a dziś umywają ręce od gnijącego namułu, który osiadł na urodzajnych gruntach po opadnięciu zalewu. A namuł ten nie ma w sobie nic urodzajnego, plenią się w nim obficie tylko zarazki chorobotwórcze. Wszystko, co było płodnego w okresie ostatnim, wszystkie zdrowe ziarna, rzucone w glebę, zdołały się rozwinąć jedynie na polach, zabezpieczonych przed zalewem i wolnych od jałowego osadu.

Z całej mniemanej misyi cywilizacyi i wolności pozostała w naszem życiu społecznem jedynie kultura krwi, ta szczególna kultura, która wszystkie najdrobniejsze nawet sprawy, chociażby podszyte interesem osobistym i prywatą, krwią tylko reguluje, dla której jedynym wymiarem sprawiedliwości, jedynym przejawem siły i opinii społecznej, jedynym językiem życia publicznego jest krew; a nie mierzy się jej ani jakościowo, ani ilościowo: wszystko jedno, kto ginie i za co, człowiek pożyteczny, czy szkodliwy, winny dowolnie szafowanych zarzutów, czy też prosty przechodzień, bo krwawe rozprawy nie przyznają ani stopniowań, ani odcieni, ani ograniczeń. Takich „wymiarów sprawiedliwości" nie znają nawet ludy najpierwotniejsze, nie znały żadne rewolucye, ani wojny.

Niedawne sądy partyjne i wyroki komitetów rewolucyjnych zdegenerowały w prostą Camorrę, która tem się różni od włoskiej, że nie jest, jak tamta, zorganizowana pod jedną komendą, ale kółkowa, często indywidualna, i nawet ze swego punktu widzenia najzupełniej anarchiczna. Chcąc zrozumieć i wytłomaczyć, przynajmniej w części, ten potworny objaw społeczny, nie moglibyśmy się ograniczyć do analizy życia lat ostatnich—to było niewątpliwie zebranie tylko i pęknięcie wrzodu, nurtującego oddawna.

Bardzo pięknie, ale radzibyśmy wiedzieć, co też *Gazeta polska* myśli o „bojówce narodowej", która obecnie przyjmuje najczynniejszy udział w „kulturze krwi" zwłaszcza w Łodzi.

KRONIKA.

Sprawy polityczne i społeczne. Władza zalegalizowała „Związek lekarzy i przyrodników polskich“, którego ustawa ma program bardzo szeroki i który rozciąga się na całe państwo.

— W Odesie powstał zamiar utworzenia sądu rozjemczego w celu załatwiania nieporozumień między robotnikami a fabrykantami.

— Zebranie robotników żydowskich w Zamościu i Łodzi postanowiło wysłać do frakcyi S. D, w Dumie prośbę o obronę spraw żydowskich. Żądają oni zniesienia ograniczeń, zniesienia granicy osiedlenia, gwarantowania odpoczynku sobotniego, prawa posiłkowania się żargonem we wszystkich instytucyach rządowych tam, gdzie żydzi mieszkają w większości; prawa kształcenia się w żargonie, osobnych instytucyj kulturalnych.

— Szesnastu delegatów łódzkich, którzy uczestniczyli w zjeździe socyalistów w Londynie, zażądało podobno przysłania im 2000 rb. na powrót do Łodzi.

— Duchowieństwo katolickie stara się o przywrócenie skasowanego zakonu dominikanów z główną siedzibą w Lublinie.

— W rozprawach w Dumie nad zniesieniem kar za tajne nauczanie w gub. zachodnich i w Król. Polskiem wice minister oświaty, Gerasimow, napadł ostro na Polaków.

— Nowomianowani sędziowie gminni w Płockiem, na miejsce wydalonych za wprowadzenie do sądów języka polskiego, odmówili przysięgi w języku rosyjskim. Zwrócono się telegraficznie do Koła polskiego w Dumie i do ministra sprawiedliwości.

— Prezydent St. Zjednoczonych, Roosevelt, zaznaczył w mowie swojej w Indianopolis, że prawo własności mniej jest zagrożone przez socyalistów i anarchistów, niż przez nadużycia bogaczów. Rząd powinien mieć prawo kontroli nad kolejami i wydawaniem akcyj oraz listów zastawnych. Bogaczom należy przypominać, że są tylko zawiadowcami swego majątku, czyli urzędnikami publicznymi.

— Zjazd przedstawicieli górnictwa w Charkowie przyjął rezolucyę, wyrażającą oburzenie z powodu bezmyślnych i potwornych zabójstw i rabunków. Zjazd uznał za konieczne zabezpieczenie robotników i ich rodzin przed aktami terorystycznymi drogą wzajemnej asekuracyi wszystkich przedsiębiorstw górniczych i wyasygnował na ten cel, aż do czasu opracowania odpowiedniego projektu 25 tysięcy rubli.

— Cesarz uwzględnił prośbę mieszkańców przedmieść łódzkich o nieprzyłączanie ich do miasta Łodzi, którą uzasadniali stratami, jakieby z tej racyi ponieśli.

— Powietrze jest przepełnione niepokojącymi pogłoskami o rozpuszczeniu Dumy. Puryszkiewicz, który na posłuchaniu w Carskiem Siole miał sobie pozwolić na uwagę w tym względzie, otrzymał bardzo surową nauczkę.

— Skutkiem ostatnich zamachów terrorystycznych w Szwajcaryi, Rosyanie utracili zupełnie sympatye ludności, która się domaga usunięcia ich z granic swego kraju.

— Posłowie-kobiety złożyły w sejmie finlandzkim projekty praw o reformie stosunków domowych w małżeństwie, położeniu dzieci nieślubnych, rozszerzenia praw matki zamężnej do dzieci, praw żony do rozporządzenia się wspólnym majątkiem małżonków i t. d,

Zaburzenia i zamachy. W Petersburgu w pobliżu kanału morskiego przyszło do starcia między dwiema grupami robotników; raniono 14 osób. Policya przywróciła porządek.

— W Łodzi dn. 3 czerwca na przechodzących 2 agentów „ochrany“ w towarzystwie policyanta i 4 żołnierzy, ktoś niewiadomy rzucił bombę, która wybuchła z wielką siłą, raniąc ciężko agentów, policyanta, dwóch żołnierzy i dwie osoby z publiczności. Natychmiast po wybuchu, jak twierdzi protokół policyjny, rozległo się kilkanaście strzałów rewolwerowych i karabinowych, od których ucierpiało około 10 osób. Jedna z kul zabłąkanych zabiła jakiegoś robotnika.

— W Indyach rozruchy nie uspakajają się. W okręgu madraskiem zburzono klub i uszkodzono kolegium naukowe.

— Dane Komitetu statystycznego wykazują liczbę ofiar, które padły z rąk rewolucyonistów Król. Polskiego w ciągu 1905 i 1906 r.: Zabito lub zmarło od ran osób 790, raniono 864, wybuchów bomb było 129, od których ucierpiało 142 osoby. Terror rewolucyjny szczególnie był silny w guberniach warszawskiej i piotrowskiej

— W Minowie w gub. Kieleckiej sześciu zamaskowanych ludzi, napadłszy na urząd gminny, usiłowało wysadzić dynamitem kasę ogniotrwałą, sufit i ściany zostały zburzone, ale kasa nietknięta.

— Do jednego z urzędów pocztowych w Petersburgu wpadło 11 uzbrojnych, którzy zabrali z kasy z górą 2000 rb.; urzędnika, usiłującego bronić, ranili śmiertelnie.

— Z rozporządzenia synodu członek pierwszej Dumy, duchowny Mikołaj Ogniw został pozbawiony godności duchownego za podpisanie odezwy wyborskiej.

Aresztowania i kary. Na Pawiaku obostrzono przepisy dla odwiedzających uwięzionych. Przed więzieniem ustawiono wartę z żołnierzy i policyantów, którzy aresztują nawet tych, co się na chwilę zatrzymują przed więzieniem.

— W ostatnich czasach odbyły się liczne rewizye u uczniów warszawskiej szkoły realnej Skrinnikowa. Rewizye te mają być spowodowane zeznaniami jednego z ich kolegów, aresztowanego przed paru mie-[illegible]

— Trzem bandytom, skazanym za napady na karę śmierci, złagodzono wyroki na ciężkie roboty przez lat 15 i czterem innym na dożywotnie ciężkie roboty zmieniono wyrok na ciężkie roboty przez lat 10.

— Z Lublina wysłano za granicę [illegible] stanu wojennego czterech mężczyzn i jedną kobietę, oskarżonych o należenie do jednej ze skrajnych partyj.

Bandytyzm. W Petersburgu podczas oglądania robót w porcie, zabici zostali dwaj inżynierowie, członkowie komisyi miejskiej, znani postępowi działacze: Bers i Niuberg.

— Do składu wędlin przy ul. Brackiej w Warszawie wtargnęło 4 zbrojnych bandytów; wymierzonymi rewolwerami obezwładnili oni obsługę i znajdującą się w sklepie publiczność i zabrali całą zawartość [illegible].

— W Zduńskiej Woli zabito fabrykanta Kuskego.

— Kilku ludzi napadło na właściciela sklepu z obuwiem, Zagrodzińskiego, raniąc go ciężko wystrzałami. Sprawców napadu nie ujęto. Przypuszczają, że wynikł on z nieporozumień z pracownikami.

— Na jednego z przechodniów ulicy Mazowieckiej napadło dwóch ludzi uzbrojonych, którzy zaciągnęli go do bramy zdjęli mu buty i zabrali 12 rb. Bandytyzm, jak widzimy, zaczyna się urozmaicać w szczegółach.

— Czterech zabójców Golińskiego, członka orkiestry fabryki Heinzla i Kunitzera w Łodzi, wykryła jedna z partyj skrajnych i kazała ich rozstrzelać. Byli oni robotnikami tejże samej fabryki.

— Na dwóch kupców, handlujących wołami, napadło w wagonie w Gorzkowicach 6 — 7 bandytów, bijąc ich i żądając pieniędzy. — Na wrzawę, wszczętą przez nich przyszedł żandarm i aresztował.., kupców, gdyż bandyci utrzymywali, że to oni zostali napadnięci, więc im żandarm uwierzył.

— W różnych punktach Rosyi i Król. Polskiego codziennie popełniają zabójstwa policyantów, rewirowych i agentów „ochrany“.

— Telegram z Moskwy donosi, że w chwili wyjścia z warsztatów parku mińskiego raniono śmiertelnie inżyniera Krebsa.

— Dnia 6 czerwca, w samo południe, zabito powracającego z fabryki K. Poznańskiego na obiad do domu, dyrektora przędzalni Edwarda Reissa. Był on Alzatczykiem z pochodzenia i poddanym francuskim. W fabryce pracował od lat kilkunastu.

— Na majstra garbarni Kurcza w Radogoszczu pod Łodzią napadło 5 chłopaków od 15 — 16 lat, którzy kilkunastu strzałami ranili go śmiertelnie.

Strajki i lock'outy. Od sześciu tygodni trwający w Rewlu strajk w zakładach metalurgicznych zakończył się. Odrzucono żądanie robotników 7-o godzinnego dnia roboczego [illegible].

— We Francyi strajkują załogi okrętowe. W Marsylii odmówiono wyprowadzenia okrętu pocztowego.

— Trzech nieznajomych przyszło do szewca Stefańskiego z żądaniem, ażeby nie przyjmował roboty dla firmy „Hans“, a zobaczywszy towar tej firmy na stole, pokrajali go na kawałki, przyczyniając straty na ośmdziesiąt rubli.

— W Łodzi zastrajkowali robotnicy 6 fabryk wełnianych, żądając podwyższenia płacy.

— W Tomaszowie rawskim w fabryce Landstaga zastrajkowali tkacze, żądając także podwyższenia wynagrodzenia.

— W strajku pudełkarzy zaczynają pojawiać się różne urozmaicenia. Jakiś odłam strajkujących przybrawszy nazwę młodych „soc. rewol.“ dopuszcza się czynów bezwzględnego terroru, który wywołuje niemniej srogi odwet. Ludzie oblewają się kwasem siarczanym, okładają ciężkimi razami i t. p. argumentami przekonywującymi.

— Robotnicy farbiarni i apretur w Łodzi zażądali 10% podwyżki, ponieważ fabrykanci odmówili, postanowili zastrajkować.

— Właściciele większych piekarń warszawskich ogłosili lock'out z powodu niemożności dojścia do porozumienia z pracownikami. Z dniem 8 czerwca wszystkie one przestały wypiekać. Miastu jednak nie brak pieczywa.

— Zarząd fabryki J. K. Poznańskiego wywiesił ogłoszenie o zamknięciu fabryki na czas nieograniczony i wymówił miejsce wszystkim w niej pracującym. Robotnicy postanowili wysłać do Berlina delegacyę z prośbą, żeby fakryki nie zamykano.

Sprawy szkolne i oświatowe. W Rydze odbyło się 1 czerwca pierwsze posiedzenie założycieli, zatwierdzonego przez władze, polskiego towarzystwa oświaty, do którego przystąpiło odrazu około 200 osób. Towarzystwo założyło już 3 szkoły elementarne, 2 ochronki i 4 koła samokształcenia. Obecnie ilość członków doszła do 1795.

— Ministeryum oświaty postanowiło nie otwierać w r. b. uniwersytetu warszawskiego z powodu niespokojnych czasów.

— Prace komisyi w sprawie funduszów politechniki warszawskiej i instytutu dońskiego zostały ukończone. Komisya orzekła, że za środki politechniki będzie można i zakład ten choć bezczynny utrzymać i dać na utrzymanie i urządzenie pierwszych wydziałów instytutu dońskiego: na ten cel ma być wzięte ze środków politechniki 125,757 rb. Ministeryum zatwierdziło projekt komisyi.

— W Pradze czeskiej odbył się wiec studentów polskich w liczbie 80 w sprawie szkolnictwa Król. Polskiego. Wysłano telegram do Koła polskiego z oświadczeniem, że najgorętszem życzeniem młodzieży jest posiadanie uczelni polskiej, dla tego celu nie cofnie się ona przed żadnemi ofiarami.

Prasa. Powstały trzy nowe pisma *Epoka*, wydawana przez pp. Granowskiego i Wardyńskiego, *Siewca* z kierunkiem narodowo-demokratycznym, *Praca* jak się zdaje narodowo-chrześciańska.

— Tygodnik *Biesiada literacka* został zawieszony na czas trwania stanu wojennego.

Wiadomości ekonomiczne. Robotnicy wykończalni i przędzalni w Łodzi wystąpili z żądaniem podwyższenia płacy. Sprawą tą zajął się związek robotniczy „Jedność“, lecz odpowiedź fabryk związkowych wypadła odmownie.

— Z wyasygnowanych przez ministeryum komunikacyi na 1908 r. — miliona dziewięciuset tysięcy rubli wykonane będą roboty: przy czwartym moście kolejowym, części robót przy budowie wiaduktów i roboty ziemne.

— Krążą pogłoski, że dla kolei rządowych w Rosyi zamówiono 200 mil. pudów węgla w Anglii.

— Magistrat łódzki postanowił rozszerzyć rzeźnię miejską przez wybudowanie nowych pawilonów oraz przeprowadzenie linii od kolei kaliskiej do terytoryum [illegible]

Koleje i komunikacye. W pociągach osobowych na kolejach nadwiślańskich usunięto sznury sygnalizacyjne i w to miejsce każdy wagon zaopatrzono w osobny przyrząd sygnalizacyjny.

Katastrofy. W gub. Grodzieńskiej w gminach łyskowskiej i pokorskiej grad zniszczył wszystkie oziminy i bardzo uszkodził zboża jare, zabił przytem 232 owce, 10 krów i 4 prosiąt, rozwalił 15 budynków.

OFIARY.

Dla uczczenia 3 maja na szkoły ludowe Tow. Kul. pol. Wiktor Strzembacz z Będzina rb. 5.

Dla dzieci robotników pozbawionych pracy Wiktor Strzembosz z Będzina rb. 5.

Wydawca i redaktor: **Paulina Sieroszewska.** Sekretarz redakcyi: **Mamert Wikszemski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.